

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 15 sierpnia 1948 r.

Nr 33 (142)

TRESC NUMERU: M. Markowski — Pochwała H. Bielskiej; J. P. Gawlik — Nauka katolicka; Przegląd prasy brytyjskiej; M. Markowski — Zakopiański notatnik; Z. Lichniak — Książka o góralskim ruchu oporu; Tydzień kulturalny; Film; Wiod. Pietrzak — Lot Jaskółek; Czytelnik uważa, że...

Juliusz Nowak-Dłużewski

ZNAMIONA STYLU BAROKOWEGO^{*)}

Stackelberg, poseł rosyjski w Polsce za czasów sejmu czteroletniego, przypatrzawszy się z bliska Polakom, nazwał ich narodem adwokatów. W wieku 17 opowiadał o nas, że jedną połowę życia spędzamy na pisaniu mów, a drugą — na ich wygłaszaniu i wysłuchiowaniu. Cierpliwy badacz siedemnasto- i osiemnastowiecznej wymowy polskiej²⁾ wydobyl sporo dowodów, świadczących o balwochwalczym niemal w tych czasach kładzie słowa, praktykowanego dla samego słowa, dla gestu słownego.

W zbiorze mów jezuitów w 17 „Plinius Polonicus” czytamy: „Może być w niepewności, co bardziej jest polskie: dokonywanie czy mów chwalebnych, czy też czynów chwalebnych wysławianie”. Znanu krasomówca drugiej połowy w 17 Jan Kwiatkiewicz stwierdza, że „Polskę można nazwać królestwem mowy”, że „z obcych krajów przeniosła się wymowa do Polski i tutaj trwale założyła sobie królestwo”. Do tego samego wniosku dochodzi prawodawca krasomówstwa pierwszej połowy w 18 Wojciech Bystrzonowski, kiedy pisze: „Zgoła państwa, świat cały utrzymuje władza mowy i jako wymowny świat stworzony: powiedział i stało się — tak i stoi”. Jak widać, wchodzimy już w dziedzinę magii słowa.

Wygłaszanie mów wypełniało stopniowo w ciągu 17 i pierwszej połowy 18 wieku całe życie polskie: życie towarzyskie szlachty, jej zebrania, kazalnice, trybunały, sejm, senat. Wszystkiemu towarzyszy oracja. Formuje się i dojrzała w tym czasie wymowa ceremonialna, towarzyska (officiosa): mowy powitalne i pożegnalne prywatne i publiczne, mowy na imieniny i urodziny, na rocznice wszelkiego rodzaju, mowy weselne i pogrzebowe, mowy świąteczne na Boże Narodzenie, Nowy Rok i Wielkanoc. Kształtuje się i rozwija drugi rodzaj wymowy, polityczno-obywatelskiej: mowy sejmikowe, sejmowe, poselskie i sądowe. Rozwija się wymowa kościelna.

Jaką rolę pełniło wtedy słowo w życiu, wystarczy wyliczyć momenty z drobnego, choć ważnego odcinka życia szlacheckiego, jakim były wesela: towarzyszą im mowy, „przy oddawaniu wieńców, po zrekowinach oddając wieńce przed ślubem, dziękowanie za wieńce, dziękowanie za pierścień do rodziców panny młodej, gdy pan młody

w ich dom wjeżdża, oddając od rodziców albo opiekunów pannę młodą, od pana młodego dziękującego za pannę młodą, oddając lancuch, oddając mancele, oddają roztruchan, miednicę z nalewką, kanak jaki, maccepany tak przed ślubem i nazajutrz po ślubie, dziękując za upominki itd.”³⁾ Są to przepisy autentyczne, wyjęte z formularza mów J. K. Woysznarowicza „Orator polityczny” (1677). Jednocześnie taki sam formularz wydał Jan Pisarski pt. „Mówca polski” (1676). Bardzo wzięta była „Swada polska i łacińska” Daneykowicza (1745). Zbiorów w tym rodzaju było więcej, drukowanych i rękopiśmiennych; badacze oglądają je obecnie jako ciekawe bądź ciekawe bądź curiosa obyczajowe i stylowe, zgromadzone w archiwach. Szlachcie osiemnastowiecznej nie potrzebował się wysilać: jeżeli go zawiodła wena albo zgoła tępe ingenium, miał pod ręką gotowy wzór, który mógł wygłosić, wyczywszy go się na pamięć, „międo-płynnymi ustami”.

Drugą obok mów popularną w dawnej Polsce sztuką była sztuka pisania listów. Zakwitła ona u nas nawet wcześniej niż mowa. List „filar życia i mądrości”, już pod koniec w. 15 — za przykładem zagranicy — doczekał się podręcznika kompozycji listowej autorstwa Jana Ursyna. W w. 17 znane były wzory listów w zbiorach Wieruszewskiego „Fama polska” i Bystrzonowskiego „Polak sensat w liście...”

Jak dokładnie obliczono, na przestrzeni dwu wieków, najwięcej w Polsce „wymownych”, 17 i 18 krasomówstwo wszelkich rodzajów literackich zagarnęło dla siebie jedną trzecią część całej produkcji literackiej w Polsce³⁾.

Jak się przedstawia stan naszej kultury krasomówczej, tak obfitej ilościowo, pod względem jakościowym? Nazwano ją „hulaniem bez wędzidła na polu, niegdyś przez Zamoyckich i Orzechowskich z taką świetnością uprawianym, „podupa-dłą gadulą i gawędziarstwem, przez cały blisko wiek (1650 — 1740) zapełniającymi próżnym echem wszystkie przybytki pańskie, wszystkie miejsca obrad publicznych, wszystkie ściany dworów i dworców od najuboższego magnata do najuboższego wioskowego szlachcica”. Znaczącego przedmiotu Antoni Małnecki, który wydał „Wybór mów staropolskich”, pisze o wymowie tego okresu: „Wszystkie głosy wieku owego były mniej więcej na jedno kopyto klecone. Strach pomyśleć, co to były za cza-

sy jakież tu bezsensy, jakie górnolotności z najniebezpieczniejszym powodzeniem, a pochlebstw, a przechwałek, a zamieszania wszelkich wyobrażeń — bezdeń i otchłań”.

Spróbujmy sprecyzować dokładniej te nieco ogólnikowe określenia.

Rozkwit wymowy staropolskiej przypada na drugą połowę w. 17 i pierwszą — w. 18 i odpowiada mniej więcej panowaniu w Polsce prądu literackiego — baroku, graniczącego z jednej strony z renesansem, z drugiej — z klasycyzmem. Wymowa jest częścią twórczości literackiej tych czasów i charakteryzuje się tymi samymi cechami, co i reszta sztuki literackiej baroku. Nie dość tego. W wymowie baroku polskiego dochodzi do pełni i najwcześniejszych cech zarówno dodatnie, jak i ujemne tego prądu literackiego, który ma swoje stadia stopniowo rosnącej świetności, jak i — stopniowo rosnącego upadku. Wymowa jest więc niejako zwierciadłem zarówno zalet, jak i wad, wynaturzeń stylu barokowego.

Barok jest dynamiczną formą sztuki, kiedy renesans można nazwać statycznym. Cechy te widoczne są dobrze zwłaszcza w rzeźbie, architekturze i malarstwie, mniej są uchwytne, zwłaszcza dla laika, w literaturze pięknej. Barok więc w istocie rzeczy jest takim samym „dobrym” i „właściwym” stylem, jak i renesans. Trzeba to z naciskiem powiedzieć dziś, kiedy tkwią jeszcze w naszym ogóle wykształconym dawne uprzedzenia do baroku, niby to zjawiska pod względem kulturalnym ujemnego. Renesans i barok są to dwa style, które po rehabilitacji (bardzo jeszcze niedawnej) baroku uznano za dwie naczelne, biegunowo sobie przeciwne formy, służące człowiekowi do wyrażania treści swych przeżyć duchowych — od starożytności do czasów ostatnich. Style te wymieniają się w procesie dziejowym kolejno: po okwitnięciu stylu renesansowego przychodzi kolej na barok, potem na renesans (klasycyzm) szereg kolejnych prądów z mniej lub więcej jawnymi cechami stylowymi obu tych prądów artystycznych, choćby nawet roznaicie nazywanych.

Barok w sztuce europejskiej, a więc i w literaturze ma również mocne pozycje stylowe, co i renesans, zwłaszcza w sztukach plastycznych, zwłaszcza w swej ojczyźnie pierwotnej — we Włoszech i Hiszpanii. Odpływająca z ziem polskich fala baroku pozostawiła wiele po sobie pereł sztuki. Choć polski barok literacki nie jest specjalnie mocnym okresem w dziejach naszej literatury, dał jednak piękne osiągnięcia: niektóre utwo-

ry Wespazjana Kochowskiego lub Samuela Twardowskiego nie są wcale gorsze od pewnych utworów nawet Jana Kochanowskiego, przed stawiciela renesansu, chociaż stylowo są zupełnie od nich inne, odrębne. Również i stylowa wymowa barokowa nie jest zasadniczo gorsza od renesansowej, chociaż jest inna. Pod względem sztuki literackiej, chociaż już nie pod względem głębi myśli i uczucia, wymowa Birkowskiego nie jest chyba gorsza od wymowy Skargi, chociaż stylowo jest od niej odmienna.

Wymowa baroku charakteryzuje się, jak powiedzieliśmy, tymi samymi cechami co i barok w ogóle. Ale nie takimi samymi. Tu się rozpoczyna odrębny nurt krasomówstwa barokowego w ogólnym strumieniu sztuki literackiej polskiego baroku.*)

Swoistym cechem bujnego, bogatego w formach zewnętrznych życia polityczno-społecznego szlachty polskiej w 17 — 18, jak również cechem ekspansyjnego charakteru narodowego Polaków należy zawdzięczać, że, wyzywając się głównie w wymowie (trochę z winy słabego pogłębienia duchowego, trochę zaś wskutek przyrodzonej sobie wady gadulstwa), doszliśmy w wymowie okresu barokowego najrychlej do szczytu osiągnięć, po którym rozpoczyna się upadek: najprzód w formie manieri stylowej baroku, potem zaś w formie zwyrodnienia stylowego. Im dalej w głąb baroku, tym zwyrodnienia są liczniejsze i wyraźniejsze, aż dochodzi do stanu, kiedy cenne pierwotnie zalety stylowe baroku stają się tylko „wadami wymowy”. Jesteśmy w pierwszej połowie w. 18; dojrzała atmosfera psychiczna, która musiała wcześniej czy później wyładować się w kształcie rewolucji stylowej. Właściwości duchowe i socjologiczne uwarunkowane predestynowały na rewolucjonistów skromnego pijara Stanisława Konarskiego.

Przyszłemu czas na zastąpienie wymowy już nie barokowej, ale pseudobarokowej wymową inną. Jaką? Oczywiście, już nie wymową barokową, bo ta się już dostatecznie zdeskretytowała. A więc wymową w stylu przeciwnym, renesansowo-klasycznym. I rzeczywiście, zaczyna się już świt klasycyzmu polskiego. Bo przecież, jak była o tym mowa, krasomówstwo nie chodzi luzem, ale dzieli wspólne losy całej literatury pięknej, do której z istoty swego stylu należy.

Poważne badania nad barokiem to sprawa niedawna. Nie u nas się zaczęły. Pierwsi nasi badacze baroku dostrzegli w nich cechy naj-

bardziej powierzchowne, najwięcej rzucające się w oczy. Zauważyli — zresztą bez większego trudu, — że pochwała człowieka wybija na literaturze barokowej, zwłaszcza zaś na wymowie, piętno bardzo wyraźne ze szkodą dla innej treści wypowiedzi; zauważyli również, że język tej epoki wchodzi z biegiem czasu w fazę coraz to rosnącej pstrokacizny łacińsko-polskiej. Pierwszą cechą nazwali panegiryzmem, drugą — makaronizmem, a cały okres literacki ochrzczili w zambul nazwą panegiryzmo-makaronicznego.

To stanowisko już nam dzisiaj nie wystarczy. Inaczej obecnie definiujemy cechy stylu barokowego.

Z tego, co powiedziałem wyżej o różnicy stylów renesansu i baroku, wynikają ich cechy szczegółowe. Pierwszą narzucającą się uwadze badacza cechą baroku jest przerost formy nad treścią, który zastępuje renesansową harmonijną równowagę dwu tych zasadniczych elementów każdego utworu artystycznego. Przerost tw.: jak? nad tw.: co?

Jest to zjawisko, które można a nawet trzeba łączyć socjologicznie z epoką, w której zamiera powoli wielka problematyka religijna, polityczna i społeczna, absorbująca społeczeństwo w 16. Szlachta, która reprezentowała wtedy twórczą kulturalnie warstwę narodu, jako stan zdobyła już pozycję uprzywilejowaną w stosunku do reszty stanów. Z jednej strony ograniczyła na własną korzyść uprawnienia monarchii i powściągnęła apetyty magnackie. To od góry. Z drugiej strony zgnębiła a właściwie zniszczyła materialnie i moralnie polski stan mieszczański i prowadziła chłopów do poziomu eksploatowanego niemiłosiernie przez siebie przedmiotu. To od dołu. Wypędziła z morze akatolizmu i zdobyła ostatecznie reduity antytrynaryzmu polskiego, wypędzając antytrynaryzmy z Polski ustawami 1658 — 1660, ale tym samym nierozważnie niszcząc ostatni a poważny ośrodek twórczej myśli polskiej.

Spoczęła na laurach. Barok, rozpatrywany socjologicznie, jest zwierciadłem okresu kwitnienia duchowego, jest sztuką dosyć warstwy szlacheckiej.

Twórczość idzie nie w kierunku rozstrzygnięcia problemów religijnych, kulturalnych, społecznych i politycznych, w kierunku rozwiązywania coraz to nowych wątpliwości w walce z przeciwnikiem a więc w kierunku wzbogacania własnej treści duchowej, ale po linii przezwycięzania raz już zdobytego i opopanego dobra kulturalnego. Panegiryzm w 17 i 18 jest znamieniem frazesu, któremu brak odpo-

^{*)} Rozdział z pracy o Stanisławie Konarskim, która ukaże się nakł. Państw. Instytutu Wydawniczego w Warszawie.

¹⁾ Michał Janik. Z dziejów wymowy w w. 17 i 18. Pamiętnik Literacki 1910

²⁾ Wilhelm Bruchnalski. Rozwój wymowy w Polsce, Literatura piękna w Polsce, 1918. T. II. str. 32.

³⁾ op. cit. str. 324.

Dm/19102

W świecie...

ODPREŻENIE

2 sierpnia wieczorem generalissimo Stalin przyjął na dwugodzinnej rozmowie specjalnych przedstawicieli USA, Wielkiej Brytanii i Francji. Wizyta ta łącząca się niewątpliwie z poprzednio lansowanymi pogłoskami o możliwościach zmiany w polityce szczególnie USA wobec problemu „berlińskiego”, a w szerszym stopniu — niemieckiego — była hasłem do dalszych rokowań prowadzonych już z min. Molotowem. Choć o wyniku tych rokowań nie opublikowano jeszcze oficjalnie opinii publicznej, z żadnej strony — to jednak powszechnie przypuszcza się — i półoficjalna prasa wszystkich mocarstw daje temu wyraz, — że rezultatem tych rozmów będzie wszczęcie rokowań całej czwórki mocarstw w sprawie niemieckiej. Jest to daleka konsekwencja wiosennej wymiany not między USA a Kremlem, kiedy to obie strony napomynały o gotowości rokowań, z tą jednak różnicą, że Waszyngton chciał rozpatrywać tylko wąski problem berliński; Moskwa natomiast stawiała iunctim między zagadnieniem Berlina a zagadnieniem Niemiec, jako całości. Pogląd ten — niewątpliwie słuszniejszy — wydaje się, że zwyciężył teraz na całej linii, i że jesienią (mówi się o wrześniu) podjęte zostaną rokowania „Czwórki” (albo na szczeblu najwyższym: Stalin, Truman, Attlee, albo na szczeblu ministrów spraw zagranicznych) na temat całokształtu polityki w sprawie niemieckiej.

W ten sposób jeszcze raz naczelne mocarstwa zadokumentowały swą wolę znalezienia pokojowego wyjścia z tej fatalnej sytuacji w jaką wpłątana została polityka międzynarodowa przez próby rozstrzygnięcia zagadnienia niemieckiego podejmowane z rozmaitego punktu widzenia dla zadośćuczynienia rozmatym, nawet sprzecznym, interesom państwowym, narodowym i ideowym.

KONFERENCJA DUNAJSKA

W Belgradzie odbyła się konferencja dunajska z udziałem ZSRR, USA, W. Brytanii, Francji oraz państw naddunajskich. Walka polityczna toczyła się o to, czy w mocy ma pozostać konwencja żegluga po Dunaju z r. 1921, dająca duże uprawnienia zachodnim państwom nie leżącym nad Dunajem (stanowisko to bronione było przez USA, Francję i W. Brytanię), czy też wprowadzona być powinna nowa konwencja żeglugaowa. Projekt takiej nowej konwencji przedłożony w imieniu ZSRR przez min. Wyszynskiego przewiduje eliminację wpływu państw nie położonych nad Dunajem na rzecz decydującego głosu dla państw t. zw. naddunajskich: t. j. Jugosławii, Węgier, Bułgarii, Rumunii i Czechosłowacji (Austria chwilowo jest pozbawiona głosu decydującego). W wyniku głosowania za projektem radzieckim opowiedziały się wszystkie państwa naddunajskie. Przeciw głosowała Francja, która zapowiedziała że nie uzna uchwały nie jednorodnej, powziętej wbrew mandataryzom konwencji z 1921 r. Powstrzymała się od głosu USA i W. Brytania, która bezustannie domagała się podania pod rozpatrzenie Trybunału Międzynarodowego sporu o ważność konwencji z 1921 r. Warto zwrócić uwagę na jednorodność między delegatem Jugosławii a ZSRR.

POLSKA — CZECHOSŁOWACJA

4 — 6.VIII odbyła się w Warszawie II z rzędu sesja Rady Współpracy Gospodarczej Polsko-Czechosłowackiej. Uzgodniono dalsze pogłębienie i rozszerzenie współpracy gospodarczej między obu państwami. W Dworach k/Oświęcimiu wybudowana będzie wielka elektrownia, która swym prądem zasilać będzie przemysł czechosłowacki.

wiednika w rzeczywistości. Jest to czek bez pokrycia, ale też jest i narkotyk, znieczulający swego odbiorcę — szlachtę wobec coraz groźniejszej rzeczywistości, która się domagała nie pochwały, ale naprawy. To narkotyk dość mocny: dość powiedzieć, że w w. 16 twórczość panegiryczna stanowi 13% całej twórczości literackiej narodu, gdy w w. 18 dochodzi aż do 30%. Dawka mocna, prawie śmiertelna. Krytycyzm ustępuje na całej linii przed postawą aprobaty tego co jest, tego, co jest doskonałe. Stąd właśnie bierze ten niezszczęśliwy politycznie okres historii nazwę panegirycznego w literaturze.

Wobec spłycaenia treści wypowiedzi literackiej energia twórcza artysty musi iść konsekwentnie w stronę tego: jak? Tu właśnie tajemnica przerostu formy nad treścią w polskim baroku, w polskiej, powtarzam, jego wersji. W fakcie przerostu formy nad treścią odkrywamy dalsze cechy specyficzne naszego baroku, które nie są zasadniczo złe, jeżeli są w „stylu”. Ale, ponieważ treść wypowiedzi nadmiernie maleje, zaczyna się nadmiernie wzbogacać jej forma. Ta forma w okresie wyrażania się stylu barokowego idzie w kierunku uporczywego na wszelki możliwy sposób omawiania przedmiotu mowy, tej samej myśli rozprowadzania i rozwadniania za pomocą coraz to nowych chwytów formalnych (głównie peryfraz). W epoce Konarskiego tę tendencję stylową nazywano afektacją. Nie dość tego! Ulubionym stało się motywowanie

i udowodnianie tego samego przedmiotu mowy czy nawet pojedynczej myśli całym aparatem erudycyjnym, gromadzonymi ad hoc ze wszystkich obszarów ówczesnej wiedzy o człowieku, czasami nawet, co gorsza, z podręcznych kompendiów strupieszających maksym rzymskich z poetów i myślicieli antyku. A to wszystko bez koniecznej potrzeby logicznej, dla dogodzenia żądzy wygadania się i nagadania się dowoli.

Rozwija się styl przesadny, znamionujący ilościowe cechy formalne utworu barokowego, najpierzwszej wymowy, kierunek poziomy tego stylu, jego akstensywność. Styl prawdziwego baroku ginie.

Obok tego idzie bezstylowa, nadmierna przesada w kierunku zaakcentowania myśli, którą się pragnie wyrazić, jej możliwie najdosadniejszego i najdobitniejszego wyrażenia, które by poruszyło wyobraźnię i uczucie słuchacza czy czytelnika. Umiar w tym kierunku jest konieczny, bo prowadzi do plastycznego przedstawienia formalnego przedmiotu twórczości. Nadużywanie prowadzi do tzw. konceptowości, wyszukaności, przerafinowania w sposobie ekspresji: wyszukuje się nieswobodnie, niespodziewane dla odbiorcy środki ekspresji, aby go zaskoczyć, zafrapować, zadziwić i olśnić, zwrócić jego uwagę i podbić nieodwołalnie dla swej tezy. Jak to powiedział pewien Włoch: edel poeta fin é maraviglia (celem poety jest zadziwienie czytelnika). Im teza jest mniej sama przez się atrakcyjna, im mniej w niej słusznej treści — a tak jest coraz powszechniej ku końcowi

baroku — tym więkza inwencja artysty czy mówcy w kierunku zdobywania wymyślnych środków wyrazu. Stąd nadużywanie słusnych i koniecznych środków ekspresji literackiej, jak przenośni i postaci mowy, stąd niezwykle zestawiania pojęć, kontrasty, alegorie: stąd igraszki słów, dwuznaczności na temat imion, nazwisk i słynnych w baroku „okoliczności” (bogate źródło inwencji barokowej to herb szlachecki: jego nazwa, składniki i kształt). To tak, jak z tym kaznodzieją barokowym, który chcąc wywrzeć wrażenie na słuchaczach, zainscenizował na początku kazania wystrzał z moździerza za murami kościoła, po czym rzucił zdumionym wiernym słowo: zabito, a po dłuższej pauzie — Chrystusa. Słowo w tym teatralnym baroku straciło już swą wagę, straciło wartość komunikatywną. Trzeba było uciekać się do haszyszu niezwykłości. Stopień nasilenia tych cech jest miarą wartości ideologicznej utworu barokowego. Na zewnątrz, w oddziaływaniu na odbiorcę utworu zespół tych środków (mało było takich odbiorców w epoce barokowej; dziś, z oddalenia dwustu lat łatwiej o właściwą reakcję) jest nienaturalny, napuszony. Zwyczajny już styl barokowej wymowy jest w istocie stylem histerycznym, przed którym ustał szlachetny patos stylowego utworu barokowego. Te środki, o których mowa obecnie, znamionują jakościowe cechy formalne utworu barokowego, charakteryzują kierunek pionowy stylu barokowego, jego intensywność.

Juliusz Nowak-Dłużewski

Wędrowniki po scenach polskich

Pochwała Hanny Bielskiej

Słuszną zazwyczaj mają do recenzentów pretensję aktorzy za to, iż problem gry scenicznej zajmuje w elaboratach krytyków teatralnych zbyt mało miejsca ustępując zdawkowym komplementom lub nie argumentowanym naganom.

Pretensja, powtarzam, słuszną, ale.. na taką postawę recenzentów składa się wiele przyczyn. Nie bez znaczenia jest tu naprzykład znane i częściowo zresztą usprawiedliwione zjawisko nadwrażliwości aktorów.

Aktor powiada: chciałbym się czegoś od krytyka nauczyć, spróbuj jednakże dać mu taką lekcję (w dobrym oczywiście tonie) usłyszysz wówczas: nonsens, jak on może bawić się w nauczyciela — na to trzeba cię znać na naszej pracy, a aby dojść do tego, trzeba być aktorem. Oto błędne kółko — wytwór ambicji.

Gra starszych aktorów otoczona jest jakimś tabu. Nie można mieć pretensji do Leszczyńskiego w „Owczym źródle”. Powiedzą: mówko chce starego wyjadacza uczyć. Konsekwencje skrytykowania gry np. Zelwerowicza (broń mi Panie Boże przed czymś podobnym) są zazwyczaj fatalne. Bo jeśli trafi ci się kiedyś później, przy innej okazji mieć pretensje do świeżo upieczonej aktoreczki, roznieście po całym mieście: patrzcie! — to ten sam, co krytykował Zelwerowicza! Można mu wierzyć?!

Recenzentowi też jest życie miłe i woli, najczęściej niestety, nie „zadzierać”. Jest to zjawisko na ogół smutne a wynikające z braku wja jemnego zaufania.

Dalszą przyczyną zaniedbywania oceny gry aktorskiej jest oczywiście także skromny wymiar recenzji. Krytyk, nauczony współcześnie, iż najważniejszą sprawą jest treść, rozpędzi się w wywodach merytorycznych, a dla aktorów zostawia dziesięć wierszy na szarym końcu.

Przynajmniej również szczerze, iż recenzenci podświadomie wymigują się od tej obowiązującej części ich pracy: ocena gry aktorskiej to najtrudniejszy punkt recenzji. Jakżeż tu łatwo o błędy. Nadużywa się słowa „samograj”. Nonsens. To co dla Eichlerówny będzie bliskie tego niezbyt pięknego pojęcia, nad tym kto inny porządnie się napoci. Aby ocenić grę aktora, trzeba znać nie tylko warunki rządzące jego pracą, ale trzeba znać również, i to możliwie dobrze, samego aktora, jego psychikę, jego możliwości, nawet jego nastroje.

I tu właśnie kłopot. Chcę chwalić Hannę Bielską a przecież znam ją ledwie z czterokrotnego oglądania na scenie. A mimo to chcę pochwalić. Mało chcę — muszę. Nie tylko dlatego by raz wyłamać się z szablonu i zamiast recenzji z „Candidy” dać artykuł o aktorze i nie tylko dlatego, że Bielskiej nie lansuje ani żaden matador teatralny (jak to ma miejsce w innym wypadku), ani półprzymienny pseudonaukowiec obnoszący się po wszystkich redakcjach z fotografią swej pupilli.

Chwalić chcę Hannę Bielską, bo na to rzetelnie zasługuje, bo pracuje nad sobą, bo robi zdumiewające postępy. Wystarczy przypomnieć sobie cztery jej role: Eliza Doolittle w „Pygmalionie” (sezon 46/47), Stella w „Drzwiach zamkniętych”, „Zabusia” i wreszcie ostatnia „Candida”.

Czytelnik jako tako zorientowany w treści tych sztuk łatwo pojmie jaka jest rozpiętość tych ról, jaka przestrzeń dzieła „Zabusie” od „Candidy” i Sliżę od Stelli. Zestawienie ról, gdy się uwzględni ich różnorodność i gdy się uzna, iż Bielska z każdą z nich dobrze sobie poradziła, daje miarę możliwości tej aktorki. A przecież to może decydować o ocenie. Talent

aktora mierzy się między innymi skalą możliwości. Nie sztuka dobrze wypaść w piętnastu rolach po dobnych. A takich właśnie „talentów” błąka się po naszych scenach dość dużo.

„Zabusia” z całą swą kapryśnością, z całą śmiesznością a trafnie uchwyconą egzaltacją, z całą, wnikliwą z błędów wychowania, naiwnością, a obok tego zrównoważoną, aż nad miarę trzeźwą, świadoma swej roli powołania „Candida”. Kobięciatko i kobieta. Ustawmy przy tych sylwetkach jeszcze dwie inne: Kokietkę (Stella) i tę, która na oczach całej widowni z brzydkiej poczwarki w pięknego przekształca się motyla.

Podziwiać należy subtelność z jaką Bielska potrafiła wymanowstroje, cztery różne charaktery.

Pewnie. Jest w tym również zasługa reżyserów. Tak. Oczywiście. Ale najgenialniejszy rzeźbiarz nie poradzi sobie ze złym tworzywem. Materiał którym on operuje musi być w miarę miękki, w miarę twardy. I ta właśnie subtelna granica jest miarą przydatności.

Nie mówię tu o żadnym geniuszu. Słowa zbyt wielkie zaszkodziłyby raczej niż pomogły. Bielska jest jeszcze młodą aktorką. Czas na wieńce laurowe jeszcze nie nadszedł. Wystarczy gałązka uznania, wystarczy kwiat zachęty i pęk zaufania, że zademonstrowanych dotychczas możliwości nie zmarnuje. Bielska jest materiałem na aktorkę dużej klasy. Na to chcę zwrócić uwagę wszystkim, którzy ją w przyszłym sezonie oglądają będą na scenie, tym, którzy będą kierować jej karierą, chcę również przypomnieć o tym samej Bielskiej z dopiskiem: pochwały nie mogą psuć — winny zobowiązywać.

Mieczysław Markowski

W kraju

ROZSADNA DECYZJA

W erze przerostu, jeśli nie wręcz omnipotencji, biurokracji, z radością należy powitać każdy fakt świadczący o respektowaniu przez czynniki decydujące słusznych głosów opinii publicznej. Do takich pomyslnych zjawisk w naszym życiu kulturalnym należy niewątpliwie zaliczyć decyzję świeżo powziętą przez nowopowolaną Komisję Obywatelską przy Miejskiej Radzie Narodowej Stolicy co do zmiany nazw ulic. Komisja po ożywionej dyskusji, w której m. in. wzięła udział znakomita literatka Maria Dąbrowska opowiedziała się kategorycznie przeciwko zmianom nazw ulic związanych z historią, przeszłością i kulturą Narodu Polskiego. Na wniosek redaktora Pisarskiego Komisja zdecydowała aby wszelkie czynności związane ze zmianami nazw ulic (biuletka, urzędy skarbowe, wydział Ewidencyjny) zostały wstrzymane. Uchwała powzięta przez Warszawską Komisję Obywatelską kładzie nieodwołalnie kres wszelkim lekkomyślnym pociągniętom w przemianowywaniu ulic, które zwłaszcza Stolicy dawały się permanentnie we znaki.

DEKRET O NAJMIE LOKALI

RADA Państwa na posiedzeniu w dn. 28 lipca zatwierdziła uchwalony przez Radę Ministrów dekret o najmie lokali normujący zagadnienie czynszów komornianych i remontów budynków mieszkalnych. Główną intencją dekretu jest umożliwienie przeprowadzenia kapitalnych remontów we wszystkich wymagających tego budynkach mieszkalnych, bez względu na to przez kogo są zamieszkałe lub jakie wpływy z komornego. Stawki czynszowe dla świata pracy nie ulegną zmianie. Warto przy okazji zaznaczyć, że jednym z pierwszych inicjatorów zapoczątkowanej dziś oficjalnie przez Rząd akcji normującej sprawę czynszów był Katolicko-Spoleczny Klub Poselski, który swego czasu wniósł w Sejmie interpelację w tej sprawie.

KONGRES WROCŁAWSKI

25 — 28 sierpnia b. r. odbędzie się we Wrocławiu zorganizowany przez radykalnych intelektualistów polskich i francuskich Światowy Kongres Intelektualistów w obronie pokoju. Spodziewany jest udział 450 intelektualistów z całego świata, nie wyłączając USA i W. Brytanii. Przewodniczyć kongresowi będzie prezes UNESCO Julian Huxley. Ze strony delegacji polskiej referat wygłosi prof. Józef Chałasiński; w samej delegacji wezmą udział polscy naukowcy i pisarze w liczbie ok. 40-stu. Referat prof. Chałasińskiego poświęcony będzie zagadnieniu obrony kultur europejskich, ich odrębności i indywidualności, — zagrożonych przez propagandę trzeciej wojny. Poza tym wygłoszonych zostanie kilka innych referatów. Spodziewana jest ożywiona wymiana zdań między uczestnikami kongresu, gdyż między nimi znajdują się intelektualiści różniący się pojmowaniem pojęcia demokracji, pozaatem liberali, integralni pacyfści, katolicy — tak świeccy, jak duchowni. Odkładając omówienie problemu kongresu do stosowniejszej chwili tutaj zwrócić musimy uwagę na dwie sprawy:

1) W kongresie weźmie udział duża delegacja niemiecka, która przyjedzie do Wrocławia, demonstrując światu całemu uznanie polskości tego miasta.

2) Zyczyć sobie należy na kongresie jaknajwyższej wymiany zdań, tak by kongres stał się rzeczywiście rzetelną imprezą intelektualną odbytą w polskim Wrocławiu, a nie tylko manifestacją polityczną ludzi mało różniących się światopoglądem.

Jan Paweł Gawlik

NAUKA KATOLICKA

Zespół tygodnika „Dziś i Jutro” nie podziela w pełni poglądów wyrażonych przez autora poniższego artykułu i drukuje go jako wypowiedź dyskusyjną.

Redakcja

P. Adam Pankowicz opublikował w nr 29 „Dziś i Jutro” z 18.7 br. obszerny artykuł pt. „Pojęcie nauki katolickiej” w którym przyjmuje istnienie specyficznych korelacji za chodzących między nauką a katolickim poglądem na świat i tym samym uważa istnienie nauki katolickiej za oczywiste.

Oto rozumowanie, które doprowadziło do sformułowania tej tezy: „Skoro istnieją katolicy uczeni, których praca i jej rezultaty wyróżniają się spośród innych w pewien sposób, to tym samym istnienie jakiejś nauki katolickiej nie da się zakwestionować. Przyjęcie pewnego światopoglądu zobowiązuje do konsekwentnego utrzymania się na jego płaszczyźnie całego naszego życia i wszystkich działań”.

Cały artykuł jest próbą ujęcia de finicji, znalezienia differentia specifica nauki katolickiej. Założeniem więc rozważań p. A. Pankowicza jest fakt istnienia nauki, która przez swoją specyficzną odmienną uzasadnia dodanie przymiotnika „katolicka”.

Założenie to nie jest dostatecznie udowodnione, bowiem cytowany przeze mnie wyjątek nie pozwala na taki wniosek. Nie istnieją uczeni katolicy, których wyniki badań w pewnej kwestii różnią się w sposób jaskrawy od wysiłków uczonych — niekatolików w tej samej kwestii, przy tej samej metodzie badań. Jeśli różnica taka istnieje to jest tylko dowodem niedokładności badania jednej ze stron, lub zasadniczych błędów metodologicznych, co można udowodnić i wyjaśnić w sposób czysto naukowy, nie uciekając się do przyczyn światopoglądowych.

Autor stwierdziwszy korelację nauki czystej i stosowanej dochodzi do wniosku, że postęp nauki ma znacznie szybsze tempo od postępu procesów świadomości i przystosowania.

Wynika stąd konieczność czynnika nadziedzego „kształtującego procesy twórcze” celem odpowiedniego kierowania działalnością nauki. Czynnikiem takim zawierać winien dwa elementy: normę pozytywną i normę negatywną.

Normą pozytywną ma być czynnik społeczny, sui generis „zamówienie społeczne”, czyli sugestia w kierunku dążenia do zaspokojenia aktualnych potrzeb społeczeństwa, uważana za „wartość obiektywną”.

P. A. Pankowicz powołując się na artykuł p. S. Oświecimskiego „O społeczny typ uczonego” (Życie Nauki II 9-10) uważa, że zadowolając realizacja normy pozytywnej może mieć miejsce tylko w związku z przebudową postawy uczonych w kierunku służby człowiekowi, a „kierowanie się w doborze nauki wyłącznie jego wartością poznawczą, „produkcja dla produkcji” winno ustąpić na rzecz wartości obiektywnej tj. możliwości rozwiązania spraw pierwszorzędnej wagi i znaczenia dla życia jednostki i zbiorowości”.

Nasuwa się podejrzenie, że zwrot „produkcja dla produkcji” jest tutaj eufemizmem i raczej należałoby napisać „nauka dla nauki”.

Nie negując społecznej roli wiedzy obawiam się jednak, że postawa taka może mieć następstwa przeciwnie od zasadniczych. Proces badawczy, uzależniony od całego szeregu czynników jest procesem jak

najbardziej indywidualnym, związanym integralnie z osobowością badacza, często niezwykle czułym na wszelkie z zewnątrz pochodzące sugestie. Podsuwanie tego, a nie innego zagadnienia do rozwiązania może wytworzyć w twórcy wrażenie kategorycznego narzucania, co z kolei może wpłynąć ujemnie na „pasję poznawczą” danej jednostki, która jest jednym z warunków optymalnej pracy umysłowej. Ludzie tworzący nowe wartości powinni cieszyć się całkowitą wolnością w swojej pracy a dopiero inni mogą przetwarzać wyniki ich „czystej nauki” na „naukę stosowaną”. Inne postępowanie może wyrządzić sprawie rozwoju nauki niedźwiedzią przysługę. Oczywiście marginesowa ta uwaga nie wyczerpuje zagadnienia które ze względu na złożoność procesów społecznych i psychicznych w układzie twórcy — społeczeństwo jest niezwykle trudne do rozwiązania.

Sformułowanie przez p. A. Pankowicza w sposób wyżej przedstawiony „normy pozytywnej” nie ma w istocie nic wspólnego ze światopoglądem sensu stricto, a tymczasem postulat ten nie ma wyraźnego związku z katolicyzmem i jest raczej lansowany przez oboje przeciwnie.

Normą negatywną nauki wg. p. A. Pankowicza, „sprawdzianem osiągniętych wartości jest zespół norm przyjętych i uznanych za obowiązujące we wszystkich sferach ludzkiego działania”.

Wartościowanie wyników jakiegokolwiek nauki może być przeprowadzone tylko z punktu widzenia obiektywizmu i ścisłości badań. Tylko krytyka metodologiczna wydaje się być słuszną, brak natomiast uzasadnionych powodów do wartościowania jakimikolwiek innymi kategoriami, a zwłaszcza kategoriami „przyjętymi i uznawanymi za obowiązujące we wszystkich sferach ludzkiego działania”, które jak wiadomo są często tylko funkcją historyczną i z naukową krytyką osiągnięć wiedzy nie wiele mają wspólne. Kontrolować można tylko obiektywizm poznania, a to jest zupełnie coś innego od uznania celowości pewnych osiągnięć, która to celowość, zgadzam się, może być wartościowana (n.b. względnie) wg. kryteriów powszechnie obowiązujących norm.

P. A. Pankowicz uznaje konieczność podporządkowania wszelkich sfer działalności wszystkim ludzi jakimś jednemu zwartemu systemowi powszechnie uznanych obiektywnych norm, które to pojęcia uznaje za synonim światopoglądu.

Stosunek nauki do światopoglądu staje się wg. cytowanego autora „przedmiotem szczególnie żywej uwagi”.

Wydaje mi się, że powinien być przedmiotem szczególnie żywej uwa

gi stosunek światopoglądu do nauki. Tutaj dorhodzimy do sedna sprawy.

Jedną z tez omawianego artykułu jest stwierdzenie, że „sprawdzianem kwalifikacyjnym, katolickości nauki jest jej stosunek do światopoglądu katolickiego”.

Dla człowieka niewierzącego sformułowanie takie nie przedstawia niebezpieczeństw. Stwierdziwszy nawet — do czego zresztą nie ma podstaw — pozorne antynomie nauki z światopoglądem przejdzie nad tym do porządku dziennego, bowiem światopogląd ten nie jest dla niego wiążący. Natomiast filisterski katolik stwierdziwszy taką sprzeczność odrzuci naukę mającą wyższą preferencję światopoglądu czyli, że światopogląd będzie dla niego wartością nadrzędną nad nauką i jej wynikami, wartością wyższą, istotniejszą, a zarazem można będzie dla światopoglądu zrezygnować z wyników badań naukowych.

Światopoglądy które naginają wyniki nauki i uzurpują sobie jej kontrole są systemami albo chylącymi się ku upadkowi, albo narzucenymi siłą. Oba te wypadki w stosunku do katolicyzmu nie mają miejsca wobec czego teza p. A. Pankowicza wydaje się tym bardziej dziwną.

Autor pisze, że podstawą światopoglądu katolickiego jest ustosunkowanie się do prawdy i przyjęcie istnienia prawdy absolutnej. Jest to wyraźnym zdeklarowaniem się po stronie prawdy, objawionej na niekorzyść wyników naukowych, w drodze do poznania przyczyny wszelkich zjawisk w pewnym momencie dociekań nad powstaniem wszystkich rzeczy natrafimy na konieczność przyjęcia lub odrzucenia konsekwencji światopoglądu katolickiego, co też każdy czyni zgodnie ze swoim sumieniem.

Inaczej rzecz ujmując p. A. Pankowicz uznaje wyższość teologii nad nauką, wydedukowaną z aksjomatów opartych na prawdzie objawionej nad tezami jakiegokolwiek innych nauk, wydedukowanymi z aksjomatów dowolnie przyjętych.

Z takim stanem rzeczy zgadzam się zupełnie, uważając uznanie wyższości aksjomatów teologicznych za warunek sine qua non przyznawania się do katolicyzmu.

Uznanie jednak takiego stanu nie stwarza jeszcze konieczności kontroli całej nauki przez światopogląd.

Oto skutki rozwinięcia tezy p. A. Pankowicza:

„Spośród nauk teoretycznych (obiektywno-poznawczych) nauki idiograficzne nie stoją właściwie w żadnym specyficznym stosunku do nauki kościoła, rzeczywistość jest jedna i jednakowo ujmuje ją każdy”.

Ale już odnośnie nauk nomotetycznych autor pisze:

„Natomiast formułowanie sądów nomotetycznych z dawien dawna obciążone jest stosunkiem wiary i rozumu i ich walki o prymat”.

Czyli, że w naukach nomotetycznych antynomie wynikające z przyjęcia podstawy wiary lub rozumu zaznaczają się. Jak wiadomo do nauk nomotetycznych zalicza się takie dyscypliny jak matematykę, fizykę, chemię. Skoro założeniem artykułu jest istnienie specjalnej „nauki katolickiej” i jak wynika z cytatu odróżniającej się zwłaszcza w grupie nomotetycznej od nauk bazujących na innych światopoglądach to logiczną konsekwencją tego po winien być fakt istnienia katolickiej fizyki, czy ateistycznej matematyki.

Oczywiste reductio ad absurdum rozwiniętej tezy p. A. Pankowicza kwalifikuje dostatecznie jasno jej wartość.

Ks. J. Salamucha w artykule „Teologia i filozofia” (Tygodnik Powszechny Nr 3 (44) z 20.I. 46) przedstawił stosunek nauk empirycznych do filozofii i teologii. Ks. Salamucha we wspomnianym artykule zobrazował całokształt nauk jako stożek, podstawą którego jest świat doświadczalny a wierzchołek schematycznie przedstawia Boga. Linie łączące wierzchołek stożka z podstawą przestrzennie przedstawiają stosunki zachodzące między Bogiem a elementami świata doświadczalnego — reprezentowanymi w naszym przykładzie przez podstawę stożka — które są przedmiotem nauk szczegółowych. Natomiast przedmiotem teologii jest Bóg i Jego stosunek do świata czyli w omawianym schemacie wierzchołek stożka i linie łączące go z podstawą. Przedmiotem filozofii jest cała rzeczywistość czyli cały stożek w naszym przykładzie.

Jak więc widzimy konflikt nauk szczegółowych z jakąkolwiek prawdą głoszoną przez nauki teologiczne jest niemożliwy ponieważ nauki te leżą w „zupełnie innych wymiarach” i nie ma między nimi żadnych elementów wspólnych tylko punkty stykowe, w naszym przykładzie na obwodzie podstawy stożka. Jeśli jednak konflikt taki pozornie zaistnieje to jest on tylko dowodem operowania nauk szczegółowych w dziedzinie teologii lub odwrotnie, jest wynikiem błędu metodologicznego. Ks. J. Salamucha pisze, że wszelkie historyczne znane konflikty między teologami a przyrodnikami wynikały z bezprawnego naruszania linii granicznych między naukami, bądź to teologowie niezręcznie wkraczali w dziedzinę nauk szczegółowych, bądź też odwrotnie, przedstawiciele nauk szczegółowych robili niezgrabne wypadki w dziedzinę teologii.

„Wszelkie kolizje między teologią a naukami szczegółowymi są

tylko kolizjami pozornymi, bo brak wspólnych terenów na których mogłyby dojść do uprawnionych konfliktów”.

Stojąc na tym gruncie możemy śmiało postawić tezę, że jedynie teologia jest nauką katolicką i może my mówić o katolickiej filozofii i filozoficznych teoriach szczegółowych dziedzin rzeczywistości (scientia media) wtedy, jeśli uznają wyższość aksjomatów teologii opartych na objawieniu nad swoimi własnymi, w razie ich konfliktu. Natomiast nie istnieją i tym samym nie możemy mówić o katolickich naukach szczegółowych zarówno idiograficznych jak i nomotetycznych ponieważ pojęcie szczegółowej „katolickiej nauki” nie ma żadnego sensu. Stosunek światopoglądu do nauk szczegółowych jest zupełnie obojętny.

Nie bądźmy zbyt gorliwi w próbach rozszerzania wpływów naszego światopoglądu. Może to doprowadzić do użycia argumentów, które łatwo podchwyczone przez grupy niewiele mające z nami wspólnego obrócą się przeciw nam, a wtedy argumentacja przeciw podporządkowaniu nauki programowi i założeniu światopoglądowym będzie trudna, bowiem niełatwo i nieuczciwie jest zwalczać tezy które samemu wysuwało się i broniło.

Nauka dąży najogólniej rzecz biorąc do poznania prawdy w poszczególnych odcinkach rzeczywistości. Żadna prawdziwa nauka nie zaprzeczyła i nie udowodniła bezpodstawności wiary katolickiej. Pomimo wspaniałego rozwoju nauk przyrodniczych, nawet kosztem metafizyki, nie zaistniała dotychczas prawdziwa antynomia nauki i wiary. Wprost przeciwnie, nauka sama, niekontrolowana jeszcze w myśl recept p. A. Pankowicza światopoglądem katolickim skłania się do przyjęcia wartości która właściwie ma wszystkie atrybuty Boga.

Ścisłe rzecz biorąc żadna nauka szczegółowa nie może ani potwierdzić, ani zaprzeczyć istnienia Boga i nie ma z tymi zagadnieniami bezpośredniego związku. Problem ten możliwy jest do rozwiązania na drodze intelektualnej tylko na gruncie metafizyki, czyli na gruncie pojęć abstrakcji III stopnia, którymi nauki szczegółowe nie operują.

Tak więc nie ma nauki katolickiej, tak samo jak nie istnieje prawda egzystencjalistyczna czy neopozytywistyczna. Prawda jest jedna, bezwzględna i absolutna i tak samo jednolita, pomimo specjalności, powinna być nauka, która ma prowadzić do jej poznania. Zwiększenie dokładności poznania napewno nie da się przeprowadzić metodami proponowanymi przez p. A. Pankowicza a brak faktycznego niebezpieczeństwa ze strony nauki nie zmusza chyba nas katolików, do jej kontrolowania na płaszczyźnie doktryny.

Zupełnie innym problemem jest zagadnienie metod badawczych w naukach empirycznych. Zgadzam się z omawianym artykułem sugerującym konieczność kontroli tychże metod wg. norm etycznych i chcąc usunąć wszelkie niejasności dodam: etyki katolickiej.

Dziwić się należy, że p. A. Pankowicz przeprowadziwszy w III części swojego artykułu zupełnie poprawne rozróżnienie celów i zadań filozofii i teologii już w IV części pomieszał zupełnie nauki społeczne z polityką społeczną. Wobec tej oczywistej wady metodologicznej pomijam omówienie tej części artykułu.

Jan Paweł Gawlik

Za spokój dusz

s. t. p.

Oficerów i żołnierzy Batalionu Szturmowego

„MIOTŁA”

poległych w Powstaniu Warszawskim

odbędzie się dnia 12 sierpnia (we czwartek), o godzinie 8.30, w kościele Zbawiciela, przed ołtarzem świętego Antoniego nabożeństwo żałobne

o czym zawiadamiają

RODZINY I KOLEDZY

BIEDNI NIEMCY

„Najpiękniejszym dniem mojego życia był 17 lutego 1947, kiedy umarł mój brat, a ja odziedziczyłem jego palto, buty i sweter”. Taką odpowiedź dała 12-letnia uczennica norwiderskiej szkoły w wypracowaniu pt. „Najpiękniejszy Dzień Mojego Życia”.

„W zeszłym tygodniu 39-letnia p. Schuett i jej 82-letnia matka popełniły samobójstwo przez odkręcenie gazu w mieszkaniu. Zgubiły kartki żywnościowe”.

„Mieszkańcy Krefeld opowiadali sobie, że ponad sto dzieci znikło z miasta i zostało przerobionych na kiełbasę dla czarnego rynku, tylko kości ich można było znaleźć w parkach. Nauczyciele i rodzice ostrzegali dzieci, żeby nie wychodziły same na ulicę. Ludzie nagle zupełnie przestali kupować kiełbasę i mięso, tak że władze miejskie były w końcu zmuszone wydać oficjalne oświadczenie, że pogłoski te nie są oparte na prawdzie”.

„Z powodu braku szyb gruźlicy nie mogą być prześwietlani, ponieważ szkło z aparatów Roentgena używane jest do okien. Z płyt gumowych, używanych w przemyśle chemicznym, robi się obecnie podeszwy do butów. Woda leci całymi dniami z kranów, żeby uchronić od zepsucia kawałek masła... I w ten sposób jeden brak powoduje drugi w niekończącym się łańcuchu ekonomicznego szaleństwa”.

„Ostatnio pojawiła się w Berlinie nowa choroba. Zanotowano już kilkadziesiąt wypadków. Lekarze nie zbadali jeszcze dokładnie jej przyczyn i charakteru, ale symptomy jej są podobne do objawów obserwowanych u chińskich żebraków. Przypuszcza się, że powodem jej jest zbyt częste spożywanie dzikich roślin”.

„Przemysłowiec, jeśli chce eksportować towar z Niemiec, musi wypełnić 46 formularzy 9 rozmaitych kategorii. Poza podaniem, które musi być złożone ośmiu różnym urzędom administracyjnym, musi wypełnić kontrakt eksportowy na 4 formularzach, w 2 językach, a następnie tzw. zapotrzebowanie eksportowe, już nie na formularzu, ale za to w 4 egzemplarzach, po angielsku i po niemiecku”.

Oto kilka najcharakterystyczniejszych wyjątków z artykułu w tygodniku „The Commonweal” (11 czerwiec) pt. „Niemcy 1948, przykłady z prasy niemieckiej i listów”. Takich przykładów podaje „The Commonweal” w sumie 25. Dotyczą one zarówno kłopotów i trudności codziennego życia, wynikających z ogólnej sytuacji ekonomicznej Niemiec, jak i demoralizacji i przestępczości. Obecne rozprężenie tłumaczy autor tylko wpływem warunków zewnętrznych, nie bierze natomiast zupełnie pod uwagę niskiego poziomu moralnego społeczeństwa i jego braku odporności psychicznej. Artykuł kończy się charakterystyką sytuacji w Niemczech:

„Dzisiejsze Niemcy są olbrzymim nieużytkiem, krajem, gdzie zwykłe kategorie moralności obowiązujące w stosunkach ludzkich, uznawane przez nas dotychczas za pewniki, nie dają się zastosować. W nienormalnym świecie czarnego rynku i handlu wymiennego wszyscy, którzy nie mogą się przystosować do nowych warunków są bezlistośnie eksterminowani, tak samo jak byli wykańczani w obozach koncentracyjnych. Śmierć jest karą za nieumiejętność przystosowania się. Ci, którzy utrzymują się na dawnym poziomie moralnym muszą zginąć, bo nie nadają się już do niczego. Nikt nie może żyć z oficjalnych przydziałów żywnościowych...”

Władze administracyjne, które starają się uregulować to, czego uregulować nie można, prowadzą

PRZEGLĄD PRASY BRYTYJSKIEJ

dziwne życie duchów, wymyślając coraz to nowe i bezskuteczne biurokratyczne formy i metody. Biurokratyczna administracja staje się „sztuką dla sztuki”. Przeszło 50% ogólnej produkcji przemysłowej Niemiec przechodzi przez półlegalne albo nielegalne, czarno- czy szarynkowe drogi”.

Krytyczną sytuację gospodarczą Niemiec omawia również katolicki tygodnik „America” (5 czerwiec). Opierając się na wydanej niedawno w Nowym Jorku broszurze pt. „Nie ma rekonstrukcji bez żywności”, pismo to stwierdza, że racje żywnościowe w Niemczech spadły obecnie poniżej 1.550 kalorii obowiązujących przez większą część po wojennego okresu. Następstwem tego są choroby, duża śmiertelność i niezdolność do pracy.

„Jeżeli Stany Zjednoczone mają stworzyć z Zachodnich Niemiec samowystarczalne państwo, muszą nalegać na zaprzestanie dalszego demontażu niemieckiego przemysłu pokojowego. Nie mogą dopuścić do jakichkolwiek umów w sprawie Ruhry, które by pozbawiły Niemcy koniecznych elementów gospodarczych. W końcu konieczne jest zwiększenie pomocy dla Niemiec, żeby kraj ten stał się dostatecznie silny ekonomicznie do odegrania właściwej roli w ogólnej odbudowie zachodniej Europy”.

Takie rozczulanie się nad „biednymi Niemcami” jest nieco irytujące dla polskiego czytelnika. Znacząco jednak gorzej przedstawia się stosunek do naszej granicy zachodniej. Wywody prasy amerykańskiej na ten temat dowodzą zupełnego niezrozumienia problemów Europy Środkowej.

Polityka Stanów Zjednoczonych w Niemczech nie jest jednakowo oceniana przez pisma katolickie. „America” w numerze z 3 lipca pisze:

„Nie ma już wątpliwości co do praktyczności obecnej polityki zachodnich aliantów wobec Niemiec”.

„The Commonweal” (11 czerwiec) natomiast zastanawia się czy nowe państwo zachodnio-niemieckie okaże się godnym zaufania partnerem czy też będzie polem walk III wojny światowej:

„Nie ma wątpliwości, że w ciągu ostatnich stu lat Niemcy były stałym kłopotem międzynarodowym. Czy zmartwychwstanie na trzeci dzień potwierdzi obawy Francji po raz czwarty?... Niemcy przez kilka pokoleń byli utrzymywani w stanie demokratycznego infantylizmu. Narzucanie im naszego skomplikowanego ustroju demokratycznego i dojrzałych rozwiązań politycznych jest posłannictwem szaleńca. Tylko dlatego chcemy, żeby Niemcy głosowali, bo sami nie możemy się zdecydować co z nimi zrobić; dajemy im możliwość wyboru, bo sytuacja jest tak męcząca i mamy już dosyć decyzji. Rosjanie i Francuzi wiedzą przynajmniej czego chcą, nawet jeśli to nie jest bardzo miłe”.

W związku ze zwołaniem na 15 czerwca zgromadzenia w celu opracowania konstytucji, „The Commonweal” (18 czerwiec) wskazuje 3 czynniki bezpośrednio zagrażające nowemu państwu: możliwość nie uznania go przez Francję, nieprzyjazny stosunek Związku Radzieckiego i niechęć samych Niemców.

„Przyjęcie odpowiedzialności za eksperyment dotyczący 50 milionów ludzi jest wielkim przedsięwzięciem. W związku z tym trzęsienie niebezpieczeństwa dla zachodnich Niemiec jest groźne. Brak patriotycznego entuzjazmu obywateli w stosunku do ich nowego państwa może się okazać niewygodny. Czy

można zmuszać gości do udziału w uczcie demokratycznych zwycięzców? Czy też gospodarz (w tym wypadku w liczbie mnogiej) będzie zmuszony, tak jak w przypowieści, wyrzucić tych, którzy nie mają szaty godowej? Jedną z najsmutniejszych stron sytuacji w Niemczech jest zupełny brak nadziei u tych, którzy ją dobrze znają: im kto jest lepiej poinformowany i bardziej zainteresowany, tym więcej ma wątpliwości. A jednak życie bywa uparte, więc nie jest wykluczone, że nowe państwo, które urodziło się pod złą wróżbą w rocznicę Waterloo, będzie czciło patrona 15 czerwca, św. Wita”.

WYŻSZE STUDIA ZDEMOBILIZOWANYCH ŻOŁNIERZY

W pierwszym semestrze bieżącego roku szkolnego na wyższe uczelnie Stanów Zjednoczonych zapisało się 1.122.738 studentów - weteranów II Wojny Światowej. Kiedy Kongres uchwalił ustawę o prawach weteranów, przewidującą między innymi kształcenie ich na koszt państwa, wielu Amerykanów miało poważne wątpliwości, czy młodzież, która spędziła dwa lub trzy lata na froncie będzie w stanie normalnie studiować. Przypuszczano, że zorganizowanie skróconych kursów za wodowych byłoby bardziej celowe niż cztero- lub pięcioletnie studia teoretyczne. Obawiano się, że weterani zniechęcą się po kilku tygodniach, że ze względu na stan ich nerwów wyższe uczelnie będą potrzebowały więcej psychiatrów niż profesorów. Ciekawe dane w związku z tym zamieszcza „America” (Nr 11, 19 czerwiec) w artykule dziekane Wydziału Inżynierii Uniwersytetu w Detroit.

„Na dzienne kursy Wydziału Inżynierii Uniwersytetu w Detroit uczęszcza 1.761 weteranów, co stanowi 74% ogólnej liczby 2.366 studentów. Pochodzą oni z 23 stanów, zarówno z klasy milionerów jak i z najuboższych warstw. Od początku roku szkolnego do dnia 5 stycznia odpadło tylko 2,7% zapisanych studentów-weteranów. W tym samym okresie w roku szkolnym 1945-46, kiedy większość słuchaczy stanowili cywile, odpadło 7,2%... Natychmiast po zakończeniu wojny z Japonią Wydział otworzył dwuletni skrócony kurs dla zdemobilizowanych żołnierzy mający przygotować techników i pomocników dyplomowanych inżynierów. Ani jeden weteran nie zgłosił się na ten kurs. Natomiast setkami zapisywali się na pięcioletnie studia dające dyplom inżyniera”.

Kliniki psychiatryczne okazały się zbyt liczne. Zdemobilizowani żołnierze mają poważniejszy stosunek do studiów niż młodzież, która nie była na froncie. Odnaczają się odpowiedzialnością, poczuciem godności osobistej, skromnością i dążeniem do sprawiedliwości społecznej.

„Weteran żywo odczuwa braki i błędy korporacyjnego ustroju kapitalistycznego... Typowy student-weteran mało ma szacunku dla stanowisk i tytułów samych w sobie. Młodzież poprzedniego pokolenia czuła pewien respekt przed profesorami, prezesami banków, dyrektorami fabryk, konduktorami kolejowymi, policjantami itp. Na weterana to nie robi żadnego wrażenia. Nie należy jednak przypuszczać, że nie szanuje on władzy, on nie szanuje tylko przedstawiciela władzy, jeśli nie jest tego godny... Może w ciągu najbliższych dziesięciu lat, kiedy dzisiejsi zdemobilizowani żołnierze obejmują kierownictwo państwem zniknie wreszcie w Ameryce

typ niewykwalifikowanego urzędnika, zawdzięczającego stanowisko protekcji i wpływowi politycznym”.

NAUKA RELIGII W SZKOŁACH

Ostatnio głośny był w Stanach Zjednoczonych proces władz szkolnych. W Champaign w stanie Illinois o przekroczenie konstytucji przez nauczanie religii w szkołach.

W państwowych szkołach w Stanach Zjednoczonych nauka religii nie obowiązuje i sprawa jej była dotychczas rozwiązywana w różny sposób. W wielu stanach przyjęty jest zwyczaj, że uczniowie, na żądanie rodziców, są zwalniani z jednej lekcji tygodniowo i w tym czasie odbywają naukę religii pod kierunkiem duchownego swego wyznania.

W Champaign lekcje religii odbywały się w godzinach nauki w budynku szkoły. Mimo, że tylko ci uczniowie, których rodzice wyraźnie sobie tego życzyli, byli obowiązani na nie uczęszczać, znana ateistka amerykańska, Vashti McCollum, oskarżyła władze szkolne o przekroczenie jednego z paragrafów Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Według tego paragrafu „Kongres nie może uchylać praw mających na celu wprowadzenie religii obowiązującej, ani też zabraniających praktyk religijnych”. Sąd Najwyższy poparł stanowisko McCollum. Prasa amerykańska szeroko omawiała zarówno znaczenie samego procesu jak i orzeczenie sądu. „The Catholic World” zamieszcza w czerwcowym numerze długi artykuł poświęcony tej sprawie.

„Zwyczajny człowiek czytając w zwyczajny sposób słowa „żadnych praw mających na celu wprowadzenie obowiązującej religii” pomyśli sobie prawdopodobnie, że zwalnianie uczniów szkół państwowych z innych lekcji na naukę religii jest bardzo dalekie od „wprowadzania obowiązującej religii”. Tym bardziej, że sam fakt nauki religii jak i wybór religii zależy tylko od decyzji rodziców. Jeśli sobie pomyśli, że dowodzenie jednoznaczności tych dwóch rzeczy jest bardzo naciągane, to będzie miał rację. Nic mu jednak z tego nie przyjdzie, bo prędzej czy później będzie musiał zrozumieć, że interpretując konstytucję nie należy czytać zwyczajnego języka w zwyczajny sposób...”

Przed r. 1840 szkolnictwo państwowe nie istniało. W okresie przyjęcia konstytucji szkoły były prowadzone wyłącznie przez instytucje religijne. Później państwo przyjęło szkolnictwo, wprowadziło przymus nauczania i, co najważniejsze, stworzyło taki system, który zdaniem sędziego Frankfurtera, zajmuje cały czas dziecka, zostawiając mu tylko godziny na spanie i reakcję. Innymi słowami, państwo uniemożliwiło dziecku naukę religii, o ile odrzuci się rozwiązanie stosowane w Champaign i Nowym Jorku. Zagadnienie sprowadza się przede wszystkim do kwestii czasu. Przy takiej organizacji jasne jest, że dziecko nie będzie uczyło się religii, jeżeli nie będzie się mogło w tym celu zwalniać z innych lekcji”.

Podobne sprawy toczą się w sądach Nowy Jork. Jak wynika z wzmianki w tygodniku „America” (26 czerwiec) opinia publiczna i władze poszczególnych stanów interesują się sprawą legalności nauczania religii: „Mamy nadzieję, że podczas rozpraw sądowych w stanie Nowy Jork fakt uznania przez władze sądowe stanów Północna Karolina, Utah, Oregon, Kentucky i Kalifornia oraz władze szkolne w Durham, Indianapolis, Chicago i innych miastach, zwal-

niania uczniów z lekcji na naukę religii, która odbywa się poza budynkiem szkolnym, za zgodną z prawem, zostanie należycie uwzględniona”.

Nie tylko katolicy obawiają się o przyszłość młodzieży wychowanej bez religii. W tym samym numerze „America” podaje wiadomość o deklaracji podpisanej przez 24 wybitnych duchownych wyznań protestanckich:

„Nawiązując do decyzji Sądu Najwyższego z dn. 8 marca deklaracja określa pogląd sądu na kwestię rozdziału Kościoła i Państwa jako „niezgodny z konstytucją”. Niezależnie od instancji sądu, „podkreślanie tego rozdziału wybitnie przyspieszy sekularyzację naszej kultury”. Dalej czytamy: „Wypowiadamy się za rozdziałem kościoła i państwa rozumianym w takim duchu, w jakim, naszym zdaniem, była pisana konstytucja. Zabrania ona państwu dawania uprzywilejowanego stanowiska jakimkolwiek kościołowi czy instytucji religijnej, oraz kontrolowania tych instytucji... W sytuacji wytworzonej przez decyzję naszego najwyższego sądu, uważamy za konieczne, aby nasze wielkie społeczności religijne, nie ukrywając różnic wiary i metod, zdawały możliwości współpracy. Tylko przy takiej współpracy możemy utrzymać religijne podstawy naszego życia narodowego”.

STRAJKI

„Wobec ciągłego wzmacniania się pozycji reakcji, sytuacja świata pracy jest dosyć ponura. Ustawa Taft-Hartley'a i rosnąca bezwzględność pracodawców zmroziły cały entuzjazm i nadzieję, którą wielu ludzi żywiło po zakończeniu wojny... W zeszłym roku wiele się mówiło o wypędzeniu reakcjonistów z Washingtonu, ale gniewne okrzyki przeszły obecnie w szept. Warunki zmówiły się przeciw ambitnym planom politycznej akcji, projektowanej przez wszystkie odłamy związków zawodowych”.

Tymi słowami „America” (5 czerwiec) charakteryzuje sytuację świata pracy w Stanach Zjednoczonych. Sytuację tę utrudniają rozłamy i niezgoda wewnątrz samych związków zawodowych. Z tego powodu niektórzy przywódcy rezygnują z szerszej działalności i ograniczają swoje programy do przetrwania obecnego kryzysu.

„Niektórzy, bardziej dalekowzroczni, znając wartość przeciwności, już wyglądają chwili, kiedy związki oczyszczone i wzmocnione przez cierpienie będą mogły więcej zrobić dla świata pracy niż kiedykolwiek przedtem. Ostatecznie rola opozycji i zepchnięcie na drugi plan nie są niczym nowym w długiej i urozmaiconej historii amerykańskiego świata pracy”. („America”, 5 czerwiec).

Dokończenie na str. 8-mej.

Nowość

Juliusz Kędziora

Szymon Syn Jony

powieść

o św. Piotrze

Wydawnictwo Mariackie
Kraków, Szpitalna 2

Mieczysław Markowski

ZAKOPIAŃSKI NOTATNIK

PODROŻ jest długa i dość nużąca. Rankiem, jeszcze jako tak pogodnym, ściga się człowiek z tak zwanego łóżka w tak zwanym wagonie sypialnym i notuje pierwsze, przez okno obserwowane zjawiska.

INTERMEZZO — NIEDZIELNY RANEK POD NOWYM TARGIEM

WIDZIALES z boczka gór po deszczu?..

Ważutkimi niteczkami spadają szemrząc dziwną pieśń strumyki. Pasemka tęczą się w pasma. Strużki w strugi. Woda załśni od czasu do czasu stońcem.

Podobnie jest niedzielnym rankiem pod Nowym Targiem.

Krętymi ścieżynkami spływają barwne strumyki ludzkie.

Strumyki rosną w strumienie. Strumienie w rzeki.

Ujście bajecznie kolorowych, pełnych powagi i dostojności rzek ludzkich znajduje się w rzeźbionych odrzwach małych drewnianych kościołków.

Pociąg przemyka obok jednego z nich.

Fala ludzka chyli się w pokłonie głębokim. Dochodzi uszu pieśń pożąta:

„Święty Boże! Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny,
Zmiłuj się nad nami!”

Pieśń milknie za zakrętem. Obrazy się zmieniają. Jednostajnie stukocą koła o spojenia szyn. Wreszcie: Zakopane. Meta. Wysiądać! Cztery tygodnie urlopu!

TATRZAŃSKIE „SZLAGIERY”

Dziwna sprawa. Dziwna, bo i głośno o niej i cicho. Zaczniemy od początku.

Ponieważ filozofowie już przed wiekami stwierdzili, że świat jest mały, musiałem w czasie pierwszego spaceru po Krupówkach spotkać przyjaciela.

Kamrat mieszka w Zakopanem stale, wobec czego do niego jak w dym z pytaniem w sprawie tych „szlagierów” — Słuchaj mój drogi!

Jak to właściwie jest z tymi tajemniczymi grotami w Wywierzysku Bystrej? Ponoć to cuda nad cudami. Ponoć kilometrowe tunele podziemne aż w masyw Giewontu. Ponoć wspaniałe jeziora, stalaktyty, stalagmity?..

Przyjaciel ma minę zaszpeconą.

— A no właśnie... ponoć. Mówi się o tym dość głośno. Mówi się, że grupa grot Turni Kalackiej, czy, jeśli wolisz Giewonckiej, to istotnie coś czego oko ludzkie nie widziało. Ale... widzisz szkopuł jest ten, że dostęp do nich możliwy tylko kilka dni w roku, w specjalnych okolicznościach, kiedy wody Bystrej nie zalewają wejścia...

— A w czasie tych kilku dni... był tam ktoś? prowadził się jakieś badania?

— Owszem, tylko z tym drugi szkopuł. Badania prowadzone są na koszt Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji. Jest tu specjalista od tych badań. On mógłby Ci wiele powiedzieć, ale... Ministerstwo Komunikacji powiedziało: płacę i wymagam ani pary z ust; trzymać wszystkich z daleka od grot — zwłaszcza dziennikarzy.

Opuściłem nisko głowę. Zadumałem się głęboko. Zaczęły mi się roić podejrzenia, że w tych grotach produkujemy bomby atomowe i wobec tego tajemnica wojskowa... ale za chwilę wyprostowałem się radośnie: chodziło o „szlagier”! A czyż nie jest największym „szlagierem” w tym

wypadku stosunek Ministerstwa komunikacji do dziennikarzy?

BYSTRA, ACH TA BYSTRA

ZREZYGNOWAŁEM na razie z wkradania się w tajemnice Ministerstwa Komunikacji i zamiast Wywierzyskami Bystrej zająłem się samą Bystrą.

Bystra, ach ta Bystra...

Niby nic. Strumyczek. Szemrze sobie to niewinnie i pomaga ci zasnąć jeśliś tak szczęśliwie trafił, że kwatery akurat nad nią okraciem się rozsiadała.

Wąska niteczka wody pryska kapryśnie w górę kaskadami pianki, ilekroć na drodze swej napotka przeszkodę w postaci wystającego z dna kamienia. Jeśli promyk słońca zechce łaskawie (a zdarza się to bardzo, bardzo rzadko) paść akurat w tę mgiełkę piany jesteś świadkiem najcudniejszego zjawiska: promień łamie się, zabarwiając mgiełkę wszystkimi kolorami tęczy.

Słowem urok, czar i piękno.

I kiedy tak idziesz wzdłuż brzegu Bystrej w czas normalny i jako tako pogodny, zastanawiasz się, pociętej strużce, aż tak obszerne wybudowanie ocebrowanie (wołę to słowo. Nie wiem czemu na sam dźwięk słowa „koryto” powstają w umyśle skojarzenia typu politycznego).

Mądrzy ludzie wiedzieli jednak co trzeba zrobić. Bystra potrafi być także niemiłą. Potrafi być groźną, okrutną. Strumyczek wówczas zmienia się w lawinę wodną. Szum w grzmoty i ryki. Piankowa mgiełka w zwąły brudnej piany. Bystra potrafi zmienić się w nieokiełzany żywioł niszczący po drodze wszystko.

Pamiętają tu rok 1935. Pamiętają świeżo połowę czerwca br. 30-to metrowe sosny płynęły na wzburzonych falach Bystrej jak zapalki. Pożęte, w kamieniu wykonane obwarowanie rozpryskiwało się tworząc dziś jeszcze widoczne wyrwy. Bystra niosła wówczas zniszczenie i klęskę. Nie było słycać płaczu ludzkiego w niesamowitym huk jej wód.

Dzisiaj jest to miły kapryśny strumyczek...

W DOLINIE STRAŻYSKIEJ

Upodnóża ściany Giewontu, nad wodospadami grupka turystów rozsiadła się na białych kamieniach.

Najwyżej przewodnik. Wyrósł wśród Tatr i wrósł w Tatry.

W ręku Tetmajerowskie. „Na skalnym Podhalu”. Przewodnik czyta o tym „jak baba dyabła wyonaczyła”.

Uśmiech krasi opalone twarze tuzystów. Słucham pięknej gwary góralskiej i rozumiem słowa poety:

„Moja...
Mieła...
Mowo ojców i braci i moja...
Gwaro podholańsko!

I także:

ostro: jak stół zbrojnickiego noża,
piękno: jak zorza w switów błysku,
cudno: jako ozwito w turniak róża,
słodko: jak dziewczce przy wiatrzu.

— Hej moja!...
mieła,
zaluźnik sie w tobie na śmierć.
(Stanisław Nędza-Kubiniec)

Schodzimy w dół ku Strażyskim Kominom.

Na zboczach owce. między nimi pastuszek. Lat może dziewięć. może je denaście.

Nie widzi nas. Zda mu się, że na świecie owce tylko smreki, góry i

on. Smiałości dziecka a może już mężczyzny nie płoszy widok miejskiego stroju, słów góralskich na ustach zawistych nie wystrasza mowa dalekich miast.

Pastuszek śpiewa:

Ej wiaterku od pola, wiaterku wierzowy,
kie ci sie uhycem, sto buków przeskocem!
Ej wiaterku od pola, wiaterku spod turnie,
kie mie wisac pudom, postronek mi urwij!...

Piosenka pastusza to jeszcze jeden ton w symfonii tatrzańskiej.

Ton coraz rzadziej słyszany, coraz ciszej brzmiący, a przecież tak tu niezbędny jak widok owcy w pełnym pejzażu hali tatrzańskiej. Gdy byś miał umiejętność Kolberga. Gdybyś zanotować skrzętnie melodię pastusza i przenieść ją w ulice miasta, by zagłuszyła głupotę „Pozdrowienia od gór” i „Nocy w Zakopanem”.

WIECZOREM NA HALI KONDRATOWEJ

CZERWONE Wierchy są naprawde czerwone w promieniach zachodzącego słońca — to z lewej strony.

A z prawej... schował się krzyż Giewontu w kłębiastej białej mgie.

Cisza spływająca na fali nadchodzącego wieczoru zamyka ci ceprze usta. Nie mów ani słowa.

A teraz zamknij oczy... słyszysz. Niesie się melodia pięknym dech zapierająca. To grają dzwonki u owczych szyi uwiązane. Dziesiątki dzwoneczków. A ty słyszysz harfy, a ty słyszysz jakby sygnaturki z sepek o milie odległych kościołów, a ty, gdybyś miał Szymanowskiego ucho, słyszałbyś najwspanialszą symfonię świata. Tak gra idealną harmonią cisza nadchodzącego wieczoru, białe-złota wstążka serpenty wiodącej na Wierchy, mgła nad Kasprowym, pozorna groza Myślenickich Turni, soczysta zieleń łąki, po której stąpasz nogą niegodną i perliste dzwoneczki.

Usiądź na kamieniu. Powtarzają za Janem Mazurem:

Wystawie se dom na holi ze smrekowych płożów,
hej, wysoki i strzelisty,
jak wiyżk, do niebiosów!

Bedom po nim syćkie burze spływały do ziemi,
wiater holny będzie growoł na nim co jesiny.

Będzie on se stał na wancie Oderwanj z turnie,
Co se kiesi królowała nad holami dumnie.

Hej, kie płytse w nim Źwidze słonecko poranne,
to Ci, Boze, w jego blasku na kolana padne!

POGODA W ZAKOPANEM

PYTACIE jaka pogoda?... więc jest tu w tej chwili skasielina, siepawica, siompa, psota, pluta, papracka, mokwa, kwaśba, fujawica, ciabraha ściabracka i wszystko to czego jeszcze górale na określenie słoty nie wymyślili.

Turysty i wypocznikowicze dostają szału. Przed licznymi w wielu punktach rozmieszczonymi barometrami zbierają się tłumy, a ten instrument przez diabła chyba wymysłony zachowuje się jak wariat. Raz na lewo, raz na prawo, raz do góry a raz w dół. Najczęściej na lewo. W stronę deszczu. Takie są atmosferyczne skutki zbaczania na lewo. Takie są skutki upolitycznienia przyrzędów pomiarowych. Ale nawet wtedy, kiedy strzałka wychylił się w kierunku pogody — deszcz le

je. Barometr „idzie”, jak się to mówi, z dołu do góry — a deszcz z góry nadół. Aby życie zatruć. Aby się cepy po górach nie wałęsały, aby się spełniły słowa Kornela, który na pytanie, co to jest Zakopane odpowiada: z przodu Gubałówka, z tyłu Giewont, a w środku leje.

Wybieram się którejs nocy z grubą laską potuc wszystkie barometry, może wówczas będzie spokój. A tak życie jest loterią: do góry, czy na dół?..

Prawdę powiedziawszy to nie ma powodu do smartwienia, bywa gorzej. Bywa tak, że ciabrzy, zafuja, trzepece, papracy, pirlu, kida, pluci i durka, czyli wszystko to co górale mówią o deszczu ze śniegiem, a co G. Smółski w swojej książeczce o „Gwarze tatrzańskiej” zapisał raczyli.

A jakby to było pięknie, gdybym na pytanie o pogodę zakopiańską odpowiedzieć mógł jednym słowem: słońce...

ZAKOPIAŃSKIE „ROZRYWKI”

W smutnym okresie, kiedy „że będzie deszcz, codziennie mówi ktoś ze skrzyni” (K. J. Gałczyński) najpopularniejszą z dołu jest dolina „Europejskiej”. I choć kawa ma tu często smak lury, i choć elastka są tu z reguły gorzej niż kiepskie, w kawiarni ruch jak na odpuscie.

Podobno jak Gall (ten od teatru) chce sobie pogawędzić z Dąbrowskim (również tym od teatru) zjeżdżają się do Zakopanego i tu, w „Europejskiej”, przy dźwiękach popularnego utworu Sindinga o wiosnie, zwierzają się sobie ze swoich trosk i kłopotów.

Oczywiście między siedzącymi przy stolikach przeważają panie niosące na pokaz nowe kreacje począwszy od modnych, przypominających mi moje ineksprymable z obciętymi do połowy nogawkami, kostiumów płazowych, aż do sukni tzw. wieczorowych.

Baumgardten patrząc na to wścieka się, że nóżek coraz mniej widać, a Morstin, znawca starożytności, mówi: wszystko to już było.

W godzinach południowych na tarzach niektórych gości widać ślady nocnych zabaw w „Gongu” lub w „Watrze”. Jak odpoczynek, to odpoczynek.

Refrenista w „Gongu” należy do kasty strzępcielu do nierządu. Woła on przez mikrofon do pt. tańczących: proszę państwa — zamało namiętności, trzeba się mocniej przytulić.. o, tak, teraz już lepiej. A oto inny wyskok. Tenże refrenista proponuje wspólne odśpiewanie refrenu jakiegoś tanga. Pijańskie głosy łączą się z piskiem podskubywanych „dam” i nagle słowa chama w głosniku: — świętnieście państwo śpiewali, Jutro możecie wystąpić jako chór kościelny.

Tak bawi się Zakopane. Pijana da ma zawadza o wszystkie stoliki, przy barze głośne echa „bruderschaftów”, woda się leje, zaduch, jazgot, skrzek i przeraźliwy wrzask orkiestry, ponure dźwięki „boogie-woogie”...

Wesoło...

SIEDEM PLAG ZAKOPIAŃSKICH

RZECZ jasna, że aby wszystkie wyżej opisane cudowności Tatr stały się dla śmiertelnika dostępne — musi przestać padać, a z za chmur musi wyjrzeć słońce.

W przeciwnym wypadku jest się skazanym na Zakopane i na szczególne poznanie siedmiu plag o ilez gorszych od egipskich.

Plaga pierwsza: motocykliści.

Przez trzy dni trwa któryś tam z rządu międzynarodowy raid tatrzański tych wyrzutków piekielnych. Megafony ogłaszają czasy uzyska-

ne przez poszczególnych uczestników raidu. Nie podaje się tylko tej ilości godzin snu, którą warkot szalejących motorów spędza z powiek ludzi przybyłych tu na wypoczynek. Raid się skończył — szaleństwa trwają, bo codziennie przybawa jeden nowy „kulturalny” sportowiec, który bez najmniejszego wyrzutu sumienia jeździ niemal całą dobę rycząc i trąbiąc na klaksonach, aż ciarki biegają po ciele. Kiedyś były jakieś tam przepisy. Jakaś ochrona zwykłego człowieka. Dzisiaj niestety o tym zapomniano i tłuszcza szaleje bezkarnie.

Plaga druga — złodzieje, którzy kradną z przydrożnych kapliczek precudne Świątki ręcznej, góralskiej roboty. Ten niecy proceder nazywa się zbieraniem pamiątek. Do tej samej grupy zaliczyć należy polujących na szarotki.

Plaga trzecia — „turyści” którzy znalazłszy się na Krokwi przesyłają bohdankom wylegającym się akurata na Nosalu głośne pozdrowienia wyciem w rodzaju: hop, hooop!

Plaga czwarta — ubrani po góralsku dorożkarze, kanciarze dla których nie istnieją żadne przepisy, ani, tym bardziej oczywiście cenniki.

Plaga piąta: fotografowie uliczni, którzy odzlawszy się w skóry niedźwiedzie stają się brutalnymi małpami i zaczepiają nachalnie i ordynarnie wszystkich przechodniów.

Plaga szósta: psy. Zwykłe kundle i rasowe. Psy zwlezione tu przez gorliwe kuracjuszkę, łapią cię za nogę na każdym miejscu. W kawiarni, w kolejce na Kasprowy, w czasie obiadu pensjonatowego przy stole ba... nawet w czasie mszy św. w kaplicy na „Księżówce”.

Plaga siódma: przyjezdne zespoły tzw. „artystów” ofiarowujące za grubo pieniądze „dwie godziny śmiechu do leż”.

Dobrze, że tradycja zna tylko siedem plag. Nie wypada mi wylizać więcej. A możnaby.

Komu by zalecić walkę z tymi plagami?

MEDALU STRONA PIERWSZA

SKOŃCZYŁEM ze sprawami gószymi, by tym bardziej się cieszyć dobrymi.

W Zakopanem wielkie zmiany. Co raz więcej twarzy, na których widać ślady wielkiego zmęczenia, ale nie nocą spędzoną w „Gongu” czy „Watrze”, tylko pracą nad odbudową kraju.

To skutki rozwoju akcji „wczasów”, tej akcji, którą bez wahania nazwać można wspaniałym osiągnięciem ostatnich lat.

Wczasowicze nie chodzą do „Watrzy”, ani do Karpowicza. Spacerują (mimo deszczu) po ulicach, tworzą grupki przed barometrami, patrzą w niebo, czekają na jakąś zapowiedź pogody. Niech tylko deszcz przestanie padać. Pójdą w góry. Zaludnią się nimi szczyty i przełęcze. Żywicze powietrze oczyści płuca. Słońce twarze na brąz opali.

CODA

MIMO siedmiu plag, mimo deszczu cudnie jest w Zakopanem. Cudne są góry i doliny. Cudne są lasy i łąki. Cudne są hale i turnie. Cudne są owce i cudni pasterze. A im dalej od Krupówek — tym cudniej. Cudne są strumyki i jeziora. Cudna jest zima i cudne jest lato.

Aż żal się rozstawać. Ale trzeba. I na zakończenie pobytu coś, co pozwala zapomnieć o plagach. „Orbis”. Na trzy dni przed odjazdem, o godz. 9-tej stanąłem w „kolejce” i choć byłem w niej aż ósmy, dostałem miejsce sypialne. W Warszawie... W Warszawie już drugi zazwyczaj odchodzę z niczym.

Mieczysław Markowski.
(Zakopane, pierwsza połowa lipca)

Tydzień kulturalny

WYROZNIENIE MUZYKOLOGA

ORAZ części w naszym przeglądzie mówimy o sukcesach jakie odnoszą nasi naukowcy i artyści na forum międzynarodowym. Nie trzeba chyba dodawać, że każda notatka na ten temat piszemy ze szczególną satysfakcją i zadowoleniem.

Według ostatnich doniesień z Francji Prezydium Francuskiego Towarzystwa Muzykologicznego podało do wiadomości, iż prof. U. J. dr. Zdzisław Jachimecki został wybrany na członka honorowego tego towarzystwa.

Warto przy okazji wspomnieć o tym, że prof. Jachimecki pracuje obecnie nad ważnym dziełem ujmującym dzieje muzyki polskiej od czasów najdawniejszych do chwili obecnej. Ukazała się właśnie, nakładem księgarni Stefana Kamińskiego w Krakowie, pierwsza część pierwszego tomu tego dzieła.

MEDAL MEDALEM...

ZWIĄZEK Kompozytorów Polskich, w uznaniu zasług na polu popularyzacji muzyki polskiej poza granicami kraju, przyznał zwycięzcy olimpijskiemu, Zbigniewowi Turkowskiemu nagrodę pieniężną w wysokości 200.000 zł.

Słusznie. Medal, medalem — laury, laurami... a żyć trzeba. Bardzo cieszymy się z faktu iż Związek Kompozytorów Polskich tak praktycznie ustosunkował się do sukcesu Turkowskiego. Fakt ten zacierza nawet dość komiczne wspomnienie o tym, że Turkowski na naszym wewnętrznym Konkursie otrzymał za swoją „symfonię olimpijską“ ledwie trzecią lokatę.

FITELBERG W AMERYCE LACIŃSKIEJ

O Buenos Aires przybył samolotem znakomity dyrygent Grzegorz Fitelberg serdecznie powitany przez prasę argentyńską.

Wkrótce po przyjeździe Fitelberg prowadzi orkiestrę na premierze opery Borodina w teatrze „Colón“ w Buenos Aires. Występ naszego dyrygenta zakończył się dużym sukcesem. Fitelberg po krótkim pobycie w Argentynie wraca do kraju około 15 sierpnia. Przypomnieć warto iż Fitelberg jest pierwszym dyrygentem reprezentacyjnej orkiestry Polskiego Radia. Orkiestra ta, zorganizowana już w roku 1945 w Katowicach przez jednego z najzdolniejszych młodych polskich dyrygentów Witolda Kalę - Rowickiego, przeniesiona będzie, według krążących nieoficjalnych wieści, w najbliższej przyszłości do Warszawy.

DWULICOWA KOBIETA.

Obraz ten przypomina mi najgorsze serijne płyciny wyrabiane przez Amerykę i przeznaczone dla tysięcy drugoklasowych kin wewnątrz USA. Taką „home consumption“ opiera się za: Ale na kilku niewybrednych żartach i równie niewybrednym pomysłem „zdrożonym ewentualnie paroma efektywnymi trickami. Duża doza wżasku, jazzu itp. przystawkami, które mają decydować o wrażeniu. Filmy te mogą być gorsze czy lepsze ale zawsze je cechuje — żeby delikatnie określić — pewien prymitywizm i brak podstawowego smaku artystycznego.

Spróbujmy popatrzeć na ten film oczami nieuprzedzonymi o tym kto jest wykonawcą. Wybiegi przy pomocy których przystojny choć zlekka grubawy amant szturmuje do serca swojej „girl“ są bardzo zwykłe może jak na amerykańskie standardy lecz trochę niestrawne. Jak na nasze poczucie kultywowanego wciąż w starej wypleśniałej Europie przesady zwanego dobrym wychowaniem. Jest wrzaskliwy, autorytatywny i całkowicie niedowcipny. Równie mało dowcipna jest uporzędkowana przepłataną kłótnią z taktownymi porównaniami, która ma zapewne kreować pełne komizmu kontrasty — a stwarza tylko monotonię. Bardzo przedko zresztą okazuje się,

Proces ten grozić może zubożeniem życia kulturalnego Katowic.

SKARGI HIEROWSKIEGO

Na to samo narzeka w 30 (73) numerze „Dziennika Literackiego“ Zdzisław Hierowski. Według autora przyszłość kulturalna Czarnego i Górnego Śląska w obliczu takich faktów jak zlikwidowanie kwartalnika „Zaranie śląskie“, przeniesienia „Odry“ do Wrocławia, odmarsz wspomnianej orkiestry do Warszawy, upadek (wskutek niefortunnnych zmian personalnych) poziomu sceny śląskiej itd., rysuje się bardzo ponuro, a nawet (użyjemy słowa Hierowskiego) katastrofalnie.

ZNOWU ODKRYCIE W BISKUPINIE

PRACE archeologiczne na terenie Biskupina posuwają się ciągle naprzód. Ostatnio w części południowo zachodniej prastawiańskiego grodu natrafiono na drogę ułożoną z olbrzymich pni dębowych. Droga ta, stanowiąca połączenie osady na bagnach z ładem, prowadzi do bramy w zachodniej części grodu. W rozwidleniu pomostu i drogi, przy bramie na zewnątrz grodu odkryto kamienie tworzące rodzaj bruku. W przedłużeniu wału wczesno - historycznego odkryto nieliczne zachowane konstrukcje drewniane będące pozostałościami dwu kolejno wznoszonych w tym miejscu wałów. Znalaziono również żarna kamienne typu obrotowego oraz brązowy kolec.

DOBRY SPOSÓB

Z okazji rocznicy Manifestu PKWN premier Józef Cyrankiewicz przyznał 30 świetlicom robotniczym na terenie całego kraju obrazy malarzy polskich. Obrazy te pochodzą z zakupów dokonanych przez Prezydium Rady Ministrów na wystawach artystów - plastyków.

Wiadomość tę powtarzamy za prasą codzienną, aby podkreślić pełne uznanie dla tak pojętego upowszechniania kultury. Prezydium Rady Ministrów wystąpiło tu jako prawdziwy mecenas sztuki. Zakup obrazów pozwala artystom plastynom na kontynuowanie pracy twórczej, a jednocześnie obrazy te trafiają tam, gdzie są najbardziej potrzebne, do świetlic robotniczych.

Przy takiej formie obchodzenia rocznic i jubileuszów zaczniemy wzdychać (w imieniu pozostałych świetlic) by każdy dzień w roku był jakas uroczystością i by czyn Premiera znalazł wielu naśladowców.

Zygmunt Lichniak

Książka o góralskim ruchu oporu

Jednym z bolesnych, nieuregulowanych rachunków wojny była u nas tzw. sprawa „Goralenvolku“. Każdy z nas widział okropne zdjęcia w szmatławcach niemieckich, przedstawiające barwnie ustrojona grupę górali i uśmiechniętego wśród nich gubernatora Franka, któremu mieszkańcy Podhala przyszli złożyć „pозdrowienia od gór“. Prawie każdy z nas czytał o bezwstydnym i haniebnych pociąganiach Szatkowskiego, Wiedery i o smutnej roli Wojciecha Krzeptowskiego, wszyscy z gorczyzą słuchaliśmy coraz to nowych wieści o „Związku Góralskim“, ba, nawet o legione podhalańskim, który z ramienia „Goralenvolku“ miał walczyć u boku dywizji SS. Nasza opinia o całej tej aferze kilku samozwańców „goralenführerów“ kształtowała się w specyficznej atmosferze okupacyjnej, na podłożu emocjonalnych podnieceń, a nie racjonalnych rozważań, w oparciu o niesprawdzone plotki, przypominające „plotkarską arie“ z „Cyrułika Sewilskiego“. Nie mieliśmy obrazu całokształtu: gorzej: szekaczka niemiecka wygadywała nam nad uchem mnóstwo chytrze dla celów propagandowych, na zasadzie „z igły — widły“ sfabrykowanych kłamstw. Nie wszyscy jednak potrafili się ustrzec szybkich uogólnień i przedwczesnych upokorzeń na temat „zdrady góralskiej“, „parszywego regionalizmu, który wodzi partrykularyzm i separatyzm“ itd. Na góralach zaciążył potworny zarzut sprzeniewierzenia się ideałom narodowym, zarzut podłego tchórzostwa, oportunistu i nędzoty moralnej.

Okres powojenny musiał dokonać aktu rehabilitacji, odwołać krzywdzące oskarżenia, wyświetlić ostatecznie tę sprawę, ukazać właściwe jej oblicze.

Nie wystarczyły tu publicystyczne, w ramach artykułów kondensowne, próby syntetycznego ujęcia. Sprawa domagała się szerszego, rzetelnego opracowania. Należało ją raz na zawsze rozwiązać, rozwiązać udokumentować faktami, fakty przeciwstawić planom, obiektywnie, przekonywująco. Wymagało to zadanie trudne, niemałego, niemałego wkładu energii, wysiłku i zrozumienia dla ważności problemu. Zadanie to długo czekało na wykonawcę.

Znalazło go wreszcie we Włodzimierzu Wnuku. Jego książka jest definitywnym rozstrzygnięciem za-

kłamanej historii fikcyjnego „Goralenvolku“.

Bo już sam wstęp i pierwsza część książki („W cieniu niesławy“) składająca się z trzech krótkich rozdziałów („Goralenvolk“, „Podłoże zdrady“, „Gorale wierni Polsce“) wyjaśnia zasadnicze nieporozumienie: demaskuje prostym zestawieniem faktów i liczb samozwańcze ambicje Wiedery Szatkowskiego i kłwatość Krzeptowskiego Wojciecha, ukazuje istotny profil zagadnienia, jego właściwy, aferowo-quislingowski charakter. Autor bez wielkich słów, rzeczowym tonem sprawozdawcy maluje sytuację wyzyskań i przekonywująco. Zestawienie wydarzeń, nazwiskowy materiał dowodowy, chronologia posunięć chytrzej szajki politycznych aferzystów nie pozostawia w czytelniku najmniejszych wątpliwości: odrębność i promienieckie sympatie zmyślonego „Goralenvolku“ były ohydny, kłamstewem.

Następna część książki („W trudzie oporu“) w dalszych rozdziałach („Walka o polską kartę rozpoznawczą“, „Sabotaż gospodarczy“, „Gimnazjum wyrosłe z podziemia“) wykazuje, jak wielką krzywdę wyrządzono góralom rzucając na nich cień podejrzania. Właśnie tam okupant napotkał na zdecydowany opór w swej akcji germanizacyjnej, pozorowanej hipokryzją hasel o zawiennym separatyzmie, wielkich odrębnościach narodowych itd.

„W większości gmin powiatu nowotorskiego — i to właśnie w najbardziej góralskich, zamieszkałych przez najczystszy, najprawdziwszy element góralski — przeciętnie biorąc 95% ludności przyjęło karty rozpoznawcze polskie, a tylko 5% góralskie“.

W specyficznym kontekście społeczno-etnograficznym góralczyzny, w świetle specjalnych warunków ekonomicznych okupacji niemieckiej, taki wynik akcji „kennkartowej“ ma swoją specjalną wymowę. Władzimir Wnuk potrafił w dwóch pierwszych częściach swojej książki zgromadzić materiał dowodowy tego typu w bardzo dużej ilości. Książka jego nabiera dzięki temu znaczenia dokumentu historycznego, stanowi jedyną chyba dotychczas próbę syntetycznego ujęcia ruchu oporu w ostatniej wojnie. oporu podjętego przez odłam narodu polskiego, mocno akcentującego swoją odrębność regionalną.

ale też mocno i zdecydowanie podkreślający swoją przynależność do całości, organicznej, historią wieków i lat ostatniej wojny potwierdzony związek z Krajem.

Górale nie poprzestali jednak na akcji biernego oporu. Czynną akcją dywersantów, sabotaż na bardzo szeroka skalę, działania powstańcze zapisały karty ich ostrej nieubłaganej walki z Niemcami. Tym walkom, ofiarom tych walk poświęcił Włodzimierz Wnuk dwie pozostałe części swojej książki („W krzyżu cierpienia“ i „W ogniu walki“).

Chochołów, Ochotnica, Waleśmund — cały krwawy szlak staré góralskich partyzantów — znalazły w autorze „Walki podziemnej na szczytach“ swojego wiernego, dorastającego do tej roli kronikarza. Włodzimierz Wnuk, sam zresztą syn Podhala, przewędrował podnóże polskich gór, u naocznych świadków zbierał relacje, u bezpośrednich uczestników walk zasięgał informacji, aby dać dokładny, „nie-sfalszowany w niczem“ obraz odtworzonego przez siebie odcinka historii.

I to jest jego niewątpliwą zasługą. Sumienne, fotografiami zubożone wydanie omawianej tu książki podkreśla jej dokumentarny charakter.

Język autora naogół szczęśliwie szarmonizowany z wymaganiami treści. Tam gdzie trzeba było ograniczyć się do wymowy nagich faktów i liczb, suchy, zwięzły, niemal protokolarny styl relacji ułatwia przeprowadzenie konkretnych zestawień, statystycznych prawie porównań. W drugiej połowie książki, w opisach walk, egzekucyj, klęsk i zwycięstw góralskich słowo Wnuka drga głęboko utajonym liryzmem, tętni uczuciem, nigdy jednak nie zacierza plastyki obrazów margajską ckliwością i sentymentalną lekka. Czasami tylko życzyliby należało autorowi mniejszej krąkości zdań, pachnących chwilami manierą dziennikarską, czasami tylko lepiejby było zrezygnować z trochę przesadzonego patosu, ze zbyt banalnej emfazy, jak ta ze zdania, kończącego książkę.

Ale to są szczegóły. Ważne jest stwierdzenie, że praca Wnuka to wysiłek wielki, ale też uwieczniony wartościowymi wynikami.

*) Włodzimierz Wnuk: „Walka podziemna na szczytach“, Wyd. Zachodnie. Poznań 1948, str. 170.

F I L M

że młodego małżonka daleko bardziej niż własną żonę interesuje jego tygodnik, wyjeżdża on do New Yorku i stamtąd wysyła od czasu do czasu lakoniczne depezy wciąż przeciągając swój powrót.

Tu zaczyna się drugi akt. Zniecierpliwiona żona jedzie wślad za nim, znajduje swój ideał w towarzystwie poprzedniej miłości. Rezygnuje wówczas z ukazania się na arenie we własnej osobie i występuje pod ad hoc stworzoną przykrywką postaci swojej siostry, nieczystej owcy w rodzinie, pije, pali, zaleca się i rzuca w ramiona podtatustalego (lecz bogatego) finansisty, — ładacznicza bez zasad. Czarnujący wieczór w knajpie kończy się próbą uwiedzenia swego „szwagra“. Lecz żeby było weselej scenarzysta kładzie w międzyczasie zorientować się mu kim jest naprawdę domniemana szwagierka i obydwójka zaczyna grać wobec siebie. Rzecz cała kończy się bomba śmiechu, czyli wpadnięciem bohatera w stronę narciarskim do jeziora. Wychodzi oziębający wodą, całują się, happy end, światło.

Dodać trzeba że wszystkie akcenty są bardzo przejawione. Grecie Garbo rola nowoczesnego wamp („uczestnic“) nie odpowiada zupełnie. Nie wiem jakimi motywami kierowano się w produkcji tego filmu. Osoby reżysera (George Cukor) partnera (Melvyn Douglas) wskazują na staranny dobór. Podejrzewam że kierowano się chęcią udostępnienia Grcy Garbo publiczności amerykańskiej w formie, którą uznano za najbardziej atrakcyjną. Zrobiono wielką szkodę tej aktorce i publiczności, gdy zamiast filmu o konkretnym założeniu artystycznym, który mógł być poważnym osiągnięciem stworzono obraz, który z zamierzonej komedii przekształcił się w trywialną farsę.

Le-ski

OFLAG NR XXVII

Żołnierze angielscy — a może i nie tylko angielscy — tapetowali ściany baraków fotografiami i sentymentalnymi widokówkami. Ludzie, których beczynne życie zostało zamknięte drutem oflagów wstrząsali się patrząc na uśmiechnięte twarze dziewcząt z kolorowych fotosów, stawali się sentymentalni i długo

nie mogli się otrząsnąć z czułościowości.

W parę miesięcy po zakończeniu działań wojennych rozmawiałam z oficerem polskim, człowiekiem zdawałoby się pozbawionym kompleksów obozowych, który w chwili kiedy ktoś zaczął grać na fortepianie przedwojenne, niemądre tango odcierał ukradkiem oczy.

Otóż wydaje mi się, że scenarzysta filmu angielskiego „Oflag XXVII“, a może i reżyser należeli do tych, którzy z czułościowości obozu nie zdołali się wyzwolić.

Film jest nierówny. Życie oflagu jest ujęte i oddane doskonale. Nedza transportu i początkowego życia bez paczek, zimno, głód, powolne urządzanie się i wreszcie indywidualne i zbiorowe wysiłki żeby zapełnić czas i stworzyć sobie w przymusowej beczynności zajęcia wypełniające życie — te wszystkie elementy zostały uchwycone i oddane wiernie i przekonywująco.

Każdy kto był w obozie jenieckim obserwuje dobrze ujęte fragmenty tego czym było życie za drutem. Słynne stały się teatry oflagowe, obawy międzynarodowe, znane wy-

padki wielkiej solidarności jeńców. Chybione jest unikanie wszelkich drastycznych momentów — nawet pies policyjny, który rzuca się na więźnia nie rani niemal swojej ofiary — a żołnierz niemiecki strzelający z wieży seria k. m. — zabija w samą porę psa, nie trafiając człowieka. Najlepszą stroną filmu jest obóz i zbiorowe życie obozu — ludzie zbyt papierowi. Najlepszymi najmniej schematycznymi postaciami są major angielski (gra Basil Radford) i strzelec Evans (gra Mervyn Johns).

Obok obozu film stara się wyodrębnić życie „cywilne“ oficerów i żołnierzy przebywających za drutami. Fragmenty życia cywilnego są skonstruowane szlacznie, banalnie i rażą sentymentalizmem. Szczególnie nieznośne są końcowe happy-endy nieprawdopodobne, powiewachowe i płaskie.

Obsada jest bardzo dobra. Wykonawcom należy zawdzięczać, że nie śmiejemy się z nieudolności tej serii okropnych melodramatów. Film jest wykonany bardzo starannie, zaopatrzone w dobrą muzykę i ładne zdjęcia. Reasumując — jest to dobry reportaż obozowy posiekany na kawałki i obciążony chaotycznie wplecionymi, na wyrost, pełnymi, dużymi scenami „cywilnymi“.

F. L.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Balk)

12

LOT JASKOŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem”

Było już zapóźno, aby iść do Łazienek. Mrok wieczorny dopadł ich, gdy znaleźli się na tarasie wysokiego domu w Alejach Ujazdowskich, gdzie przed tygodniem otworzono letnią kawiarnię. Stoliki stały pod różowymi parasolami jak na plaży, płonęły lampiony; na każdym stoliku stała elektryczna lampa z żyrandolem w barwach azalii. Kiedy weszli, na tarasie było chłodno — ponad parkami, od Wisły, czy nawet z za rzeki, dął suchy i chłodny wiatr. Stanęli przy balustradzie: w resztkach widoczności można było na niedalekim horyzoncie rozróżnić mgły fioletowe, przechodzące w mleczno-niebieskie od wschodu niebo. Od strony północnej ciągnęły czarne chmury nocne, jak kare konie o ciężkich tułowach. Pod spodem wlokły się dymy z lokomotyw, dymy z kominów z całego dnia, które aż do wieczora czaiły się w powietrzu i z nadejściem nocy materializowały się jak zjawiska spirytystyczne. W dole huczały dzwonki tramwajów, syk pneumatyków na asfalcie niósł się ku górze z tupotem kroków — śmieszny i zagadkowy, bo ruch uliczny tłumiał odgłos rozmów z dołu. Wyglądało jakby wszyscy na dole, na ulicy szli milcząc. Tymczasem, to Krystyna milczała ciągle i gdy Ksawery odnalazł jej wzrok, zauważył, że oczy dziewczyny błędzą po szczytach drzew w parku Ujazdowskim, w ogrodzie Botanicznym. Błędzą: kłony drzew, odkryte bogactwem wiosennych liści, zlewały się już ze sobą, przestawały nawet być zielone. Stawały się czarne.

Krystyna była niezadowolona ze siebie, że przewlekała milczenie ten wieczór. Nie można się było poznać i odejść, choć to właśnie byłoby najprostsze. Jedno nie było proste: odpowiedź. Ksawery nie miał prawa do żądania wyjaśnień, pod tym względem była spokojna, lecz miała prawo do odpowiedzi. Czując, że, milcząc, tym samym utrudnia sobie odwrót, uniemożliwia słowo „nie”. Milcząc, zgadzała się coraz bardziej, chociaż powoli. A choć zyskiwała w ten sposób wiele czasu, nie wykorzystywała go w sposób właściwy. Należało się namyśleć, sądziła. Myślała właściwie o tym, co ją teraz czeka. O tym, że Ksawery ma tylko jeden rodzaj niezwykłości: niezwykłość inteligencji — i czy to wystarczy, aby nadać ich życiu, im obojgu, cechę niezwykłości? Wiedziała, że pragnie niezwykłości, lecz nie czuła, aby mogła ją jakoś stworzyć dla obojga. Oczekiwała niezwykłości. Za parę dni miał przyjechać Rauchenberg. W tej chwili była wprost wściekła, że go nie ma. Złapała się na myśli, że można by porozmawiać z Rauchenbergiem tak w ogóle, nie wymieniając nazwisk, o zagadnieniu niezwykłości. Jak długo może trwać to, co jest niezwykle, co my uważamy za niezwykle? Rauchenberg, jego osobę także należało wliczyć do tego, co teraz nastąpi. Zdążyła do siebie, że Rauchenberg weźmie całkowicie na siebie. Nie powinni o niej nigdy rozmawiać, nie powinni się zetknąć. Zarazem, nie była pewna, czy Rauchenberg zechce zachować się dostatecznie rozsądnie. Będzie wysuwał trudności — wzruszyła ramionami: Rauchenberg musi przyjąć sprawy tak, jak się ułożą. Przyjaźń, będą się nadal widywać. Powiodła oczami po Ksawerym: odnalazła w nim nowy wyraz, wyraz natchnionego, poważnego skupienia. I to jej dodało otuchy, w każdym razie na nim można było polegać. Miał osobistą prawość, jeżeli nawet był całkowicie z obcego, wczorajszego świata. Tym samym, ona, Krystyna, znajdzie się w owym świecie, z którego kiedyś usunęła się dobrowolnie. Robotnica z fabryki Oszmiańskich, gdzie poznała Czelepińskiego, robotnica z fabryki Oszmiańskich wychodząca zaima za Ksawerem?

Uśmiechnęła się do niego.

— Naturalnie, jeżeli myślisz, że to ma jakikolwiek sens...

— To zabawne, że właśnie ty wspominasz teraz o sensie. Być może — powiedział — że to jest też sens. Tym bardziej... Nie mogę obmyślać, występują zupełnie inne względy. Uważasz, przed nami jest odmet i powstaje pytanie, czy mamy skoczyć. Jeżeli się będziemy namyślać, zostaniemy na brzegu. Trzeba zamknąć oczy. Przepłyniemy — i to byłoby

wspañiale. Albo zostaniemy na brzegu. Nie warto myśleć, wtedy przysłoby zastanawiać się nad tym, że może nam być źle. Tego jednego nie da się przewidzieć, to jest kwestia losu. Ale wydaje mi się, że rozmyślając o nieudaniu się, o kłopotach przyszłych tym samym się je już ściga. Bo z góry rozrywa się siatkę wieczorną mroku, zielone gałęzie... Jedno, co jest możliwe — mieć serce.

— Nie powinnam być bardziej rozsądna niż ty. Choć może właśnie powinnam, ale się do tego zupełnie nie nadaje.

Chciał, aby nazajutrz spędziła z nim razem cały dzień, aby nie szła do biura. Postawiła rzecz inaczej: właśnie przez parę dni pragnęła go teraz nie widywać.

— Zrozum mnie dobrze, ja nie będę rozważać niczego. Muszę się tylko oswoić. Mnie jest jeszcze bardzo trudno mówić do ciebie ty. Muszę się oswoić — powtórzyła.

— W każdym razie — oświadczył — weźmiemy jak najprędzej ślub.

— Boisz się rozmyśleć? — zażartowała.

Rauchenberg wrócił z Paryża radosny i odświeżony. Każdy taki wyjazd dawał mu poczucie utwierdzenia, poczucie wagi. Wagon restauracyjny, potem cicha ulica Camartin, restauracje i ta atmosfera wielkich spraw, wielkich poglądów. Uczył się ich na pamięć — w krótkich formułach, w definicjach. Odczuwał żywe zadowolenie, powtarzając znajomym w Warszawie strzępki rozmów z bulwarów, przywoząc im powiew świata — trochę cierpki, kapryśny, i tak mądry, mądry doświadczaniem stuleci. Znajdował, że jeden Paryż ma zdolność do ujmowania w syntezę — Europy, bolszewizmu, roszczeń Hitlera, ruchu cen na giełdzie. Mimo wszystko, był rozradowany. Położenie w polityce zagranicznej się komplikowało. Ale w Paryżu nie chciano wojny i wierzył, że oni znajdą sposób, aby uniknąć katastrofy. Rauchenberg mówił, że najlepsi ludzie myślą teraz o tym, jak uniknąć wojny. „Nie ma sensu wojować, rok 1918 wykazał, że i zwycięzcy i zwyciężeni nie odnieśli korzyści z hekatombi krwi, którą złożyło nasze pokolenie”. Czyn, ten stary mit Europejczyków, w który się wierzyło tak bezkrytycznie na przełomie nowych lat, na przełomie stulecia, nie jest przecież zdolny do tworzenia nowych wartości moralnych. Rewolucja rosyjska, Marna i Wersal — same rozczarowania. Nie warto ich powtarzać. W imię czego? Niemcy mają ostatecznie jakieś prawa w Europie. Mają wielki przemysł i muszą dla niego mieć zarówno rynki jak surowce. Należałoby raczej pomyśleć o zjednoczeniu przemysłów europejskich, wtedy się przestanie wegetować. Cóż za nonsens, aby samo utrzymywanie warsztatów w zdolności produkcyjnej wymagało nakładów, choć nie ma mowy o zyskach. Nie można ciągle dokładać, trzeba zarabiać. Zarabiać — to jest przecież zasadniczy pogląd kapitału i trudno powiedzieć, aby był błędny.

Krystyna odmyła usta i mówiła, że w Warszawie myśli się inaczej.

— Daruj, w Warszawie się nie myśli, reaguje się uczuciowo. Ale my, synowie starej cywilizacji, umiemy trzymać nasze uczucia na wodzy. Należy próbować, czy nie da się czegoś rozsądnego ustalić wbrew uczuciom, na przekór uczuciom...

— To jest tylko — podłe.

— Ach, wiem, ja wiem, twój romantyzm, wasz romantyzm polityczny.

Musiał jednak zmienić ton swoich rozmów: natrafił na zwarty blok odczuwania zupełnie innego niż system, który rozwijał. Nie słuchano w ogóle argumentów. Wskazywano na konieczności historyczne, na zasady sprawiedliwości i prawa. Był pewien, że do sprawiedliwości odwoływać się należy, zawsze. Istniały jeszcze te ideały, równość i braterstwo. Sprawiedliwość to jest jednak życie, to są jego konieczności, nie abstrakcja.

— Wojnę rozciąć można wtedy tylko — powiedział do Wieganda — gdy przeciwnik zaczyna szaleć, gdy odrzuca wszelki rozsądny kompromis, gdy w inny sposób nie można do niego trafić.

— Monachium za każdą cenę?

— Nie, nie za każdą, ale za możliwą i tę cenę dziś jeszcze w Europie można uzyskać, o ile dyplomaci wykażą zręczność i dobrą wolę, dwie cechy, których na ogół nie posiadają. Trzeba sprawy europejskie brać z punktu widzenia praktycznego, odwoływanie się do zasady sprawiedliwości, do samokreślenia narodów, jednym słowem do argumentów uczuciowych, nic nie oznacza i prowadzi do wojny. Kto chce wojny w Europie? Co do Francji, tam woła pokój...

Przeżywał jeden ze swych okresów wielkiej sprawy. Był cały zaprzęgnięty tą dyskusją, dającą mu złudzenie, że jest blisko tego punktu, który będzie decydujący, który wpłynie na wojnę lub pokój. Krystyna musiała mu jednak powiedzieć o Ksawerym i przeżyła rodzaj rozczarowania: przyjął tę wiadomość jako coś drugorzędnego, bez porównania mniej istotnego od innych wydarzeń, którym trzeba poświęcić całą myśl i całą energię. A jednak, odetchnęła z ulgą. Bała się jego protestu. Gdyby robił trudności, byłoby jej bardzo ciężko. Nie dlatego, aby miał do niej jakiegokolwiek prawo: była jednak gotowa uznać jego prawa, gdyby się przy nich upierał. Przede wszystkim przez rodzaj litości. Był nieprzeciętnym człowiekiem i wierzyła, że tacy ludzie są zazwyczaj pokrzywdzeni w życiu osobistym. Sprzysięga się przeciw nim przeznaczenie i ich własna niezaradność, nieumijętność życia. Trafiają na ludzi, którzy ich nie umieją zrozumieć, a tym samym ocenić. Ten zarzut stawał Rauchenberg własnej żonie. „W najlepszym razie widziałam we mnie człowieka interesu, przy tym egoiste”. Śmiał się wyrozumiale i głośno, tak bardzo nie czuł się tym zarzutem dotknięty ani poniżony. Mógł sobie pozwolić na wielkoduszność wobec tamtej kobiety, bo ją lekcewał. Krystyna czuła, że tym razem Rauchenberg zlekcewał i ją samą. To jedno było bolesne. Nie chciałaby mu za żadną cenę przysparzać bólu.

— Ależ moje dziecko, skądże. La douleur — co znowu... Musisz być szczęśliwa, każdy pojmuje szczęście po swojemu, religia szczęścia jest politeistyczna i dlatego ja, obojętnie, nie wierzę w szczęście. Skoro ma być aż tyle bogów, na pewno nie ma żadnego. Zresztą, dzisiaj, czy wolno myśleć o sobie?

To pytanie zawierało znowu wyrzut, ale nad tym wyrzutem potrafiła przejść do porządku dziennego. Było jedno w życiu, czego się bała: komplikacja. Nie powinien z nią w ten sposób postępować. Skoro ją chce zatrzymać, należało, aby miał odwagę i umiętność sformułować to wprost. I wtedy, była pewna, cofnęłaby się przed położeniem tak skomplikowanym między nim a Ksawerym. Jeszcze parę dni temu, nie myślała wcale, że kocha Ksawerem. Później nie była tego pewna. Ale teraz, gdy Rauchenberg podkreślał swój brak zainteresowania, zostawiając dla niej jakieś dyskretne przejścia, jakieś nocne boczne furtki — zyskiwała pewność i czuła, że może tej pewności oddać się z całkowitym spokojem.

Przysłał jej pek herbacianych róż. Powiedziała o tym Ksaweremu. Ksawery był zirygowany. „Powinnas mu natychmiast oddać te kwiaty” — powiedział.

— Ależ dlaczego?

— To jest niestosowne.

— Nie bądź śmieszny. — Właśnie upierał się, aby być śmieszny, objawiła się w nim zazdrość doprawdy spóźniona. Wyciągał ją na zwierzenia o tamtym; słuchał, gdy mówiła, z ręką podłożoną pod brodę. Domagał się, aby go nie widywała, aby z nim nie rozmawiała. Zmienił się zewnętrznie i nie wiedziała czemu to przypisać. Dawniej był ożywiony, wesoły. Teraz, gdy już miał jej miłość, gdy mógł być pewny Krystyny, stał się pochmurny, nafałdowany nie to znużeniem i nie nasyceciem, lecz jakby przecuciem czegoś niedobrego, jakby żałował tych tygodni, gdy sprawy między nimi pozostawały jeszcze bez nazwy, gdy nic nie było przesądzone. Rauchenberg nie pokazywał się zupełnie. Widywała go w biurze, z daleka; nie miał jej nic do powiedzenia. Przechodził

przez biuro, żartował, zagadywał młode kobiety. Omijał Krystynę, opuszczała niżej czoło i czuła, że krew jej napływa do twarzy. Zdawała sobie sprawę, że tak wygląda lekceważenie i była chwilami gotowa podejść do niego, wyciągnąć do niego rękę. Pragnęła, aby wrócił ich dawny stosunek, stosunek psychicznej zażyłości i doskonałego porozumienia. Mówiła Ksaweremu o zmianach w zachowaniu Rauchenberga; żalowała, lecz te zwierzenia doprawdy nazbyt były podobne do skargi i rozumiała, że Ksawery słucha jej z zaledwie ukrywanym zniecierpliwieniem. Nie sądziła jednak, aby mogła znaleźć właściwego słuchacza. Trudno było o tym opowiadać komuś z Czelepińskich, nie znali zupełnie tej geografii. Na dobrą sprawę, nie znał jej w całości i Kunowski, przypuszczała. Nie byłby tak śmieszny z tą swoją niewczesną zazdrością.

— Ależ zrozum, Wery — krzyknęła kiedyś — on o mnie naprawdę nie dba.

Pokiwał głową.

— Nie dowierzam temu. On ciebie zna lepiej niż ja. I może lepiej, niż ty sama znasz siebie. Jemu chodzi o jedno, abyś musiała o nim myśleć, abyś nie mogła go zapomnieć. Taka jest właśnie sprawa — mówił, marszcząc czoło i daremnie ujęła skronie Ksawerem w swe dłonie: linie zmarszczek nie ustąpiły — najgorsze jest to, że ty o nim wciąż myślisz.

Teraz się już zgadzała na szybki ślub. Wyznaczyli termin. Z rodzajem żalu uznała jego rację, że w tym czasie nie należy wyjeżdżać za granicę. „Pojedziemy po ślubie po prostu do Włuk” — oświadczył; zgodziła się i na to. Żyła w oszołomieniu, jakby płynęła przez jakąś głęboką wodę. Ład był dopiero dalej, miała pewność, że dopiero po ślubie odzyska całkowitą świadomość. Wtedy się wszystko wyjaśni, myślała.

Czelepiński uśmiechał się do niej z rodzajem pobłażania.

— Przechodzimy więc do faszystów, ostatecznie, Ksawery jest faszystą. Nauczy cię swojej wiary.

— To przecież twój przyjaciel.

— Przyjaciel, przyjaciel — powtórzył. — Może na codzień. Ale gdyby co do czego przyszło.

Nie uznają dwu rodzajów życia, jednego, które się celebryje, gdzie trzeba przestrzegać, i drugiego, które jest prywatne, wolne. — Młoda jesteś — uśmiechnął się. — Ale pilnuj go, niech się opamięta do reszty. Ma groźnego braciśzka.

Zapytała o Konrada. Nie, Czelepiński obojętnie go nie znał. Nie uważał, aby to było potrzebne. Jeżeli kiedykolwiek da się w kraju przeprowadzić zjednoczenie prawdziwych sił patriotycznych, będzie to zjednoczenie demokratyczne. Dla takich jak Konrad miejsca tam nie będzie. Gdy się o nim myśli, trzeba usprawiedliwić pomysł greków ze sądem skorupkowym: ostracyzm, to byłoby coś najłagodniejszego, co można by w tym wypadku zastosować. Niewątpliwie, już przegrał, lecz przegrał dopiero pierwsze starcie. Nie jest zniszczony, jeszcze nieraz wypłynie i będzie brudził, można by go nazwać słowami Norwida: duch czarny. Gdyby wszystko się działo w świecie duchów, nie w świecie doraźnych interesów! „Siłą Konrada Toena jest to — powiedział jej Czelepiński — że przedstawia on pewne interesy klasy, która nie może się utrzymać w naturalnym rozwoju wypadków, która jest skazana. Więc, aby uniknąć wykonania wyroku, próbuje sama zastosować siłę, chce uprzedzić rewolucję. Im chodzi o ufundowanie oligarchii, obecnemu systemowi mają do zarzucenia właściwie to tylko, że jest niedość oligarchiczny i że nie stawiał sobie celów innych jak ten jeden i utrzymał się przy władzy”.

— Niedość oligarchiczny? — zdziwiła się Monika.

— Tak, tak — powtórzył. — Samobójstwo Plaży jest tego dowodem. Przede wszystkim jednak system nie działał w kierunku umocnienia swoich podstaw. Ograniczał się do używania policji — i to było zaimo w oczach ludzi takich jak Toen i jak ci, którzy za nim stoją.

— Kogo masz na myśli?

— Tych, którzy mu dają pieniądze. Bo ja wiem kogo? Każda organizacja polityczna potrzebuje pieniędzy. A takie — najwięcej, trzeba przecież płacić pretorianom. Istotą idei pretorianów jest znośne wynagrodzenie — i nadzieja na przyszły łup, bardzo duży łup.

D. C. N.

PRZEGLĄD PRASY BRYTYJSKIEJ **Czytelnik uważa, że...**

(dokończenie ze str. 4-ej)

Koszty utrzymania wzrosły w ciągu ubiegłego roku o 12 proc. Do końca bieżącego roku przewidywana jest dalsza zwyżka o 2 — 3 proc. Powoduje to strajki pracowników prawie wszystkich gałęzi przemysłu i handlu, którzy domagają się podwyżki zarobków. Wielkie koncerny bronią się przed podniesieniem płac przedstawiając fałszywe cyfry, obliczając zyski w procentach od obrotu a nie od kapitału zakładowego, lub godzą się na minimalną obniżkę cen swoich artykułów. Kalkulacja Forda wystąpiła nawet z propozycją obciążenia płac robotników. Największe strajki w ciągu ostatnich kilku miesięcy miały miejsce w zakładach Chryslera i na farmie owocowej Di Giorgio w Kalifornii.

Dane, które podaje „The Commonwealth” w numerze z 4 czerwca obrazują sytuację w fabrykach Chryslera.

„Od tygodnia 75.000 pracowników strajkuje w zakładach Chryslera. Ta próba sił może mieć decydujące znaczenie zarówno dla amerykańskiego świata pracy jak i dla amerykańskiego przemysłu... Związek Zjednoczonych Pracowników Przemysłu Samochodowego, który ogłosił strajk w fabrykach Chryslera podał do wiadomości, że „na podstawie oficjalnych danych dyrekcji obliczono, że gdyby zakłady Chryslera podniosły zarobki pracowników o 30 centów za godzinę i obniżyły cenę każdego samochodu o 70 dolarów, zysk ich wyniósłby 6 proc... Związek podkreśla, że tygodniowe zarobki jego członków zatrudnionych w fabrykach Chryslera są niższe o 13 dolarów od minimalnych płac uznanych przez rząd... Zarząd Zakładów podniósł w zeszłym roku pensje swoich członków. W niektórych wypadkach podwyżki dochodziły do 78,8 proc.”

W tym samym czasie (25 maja) pracownicy General Motors po długich pertraktacjach uzyskali podniesienie płac o 11 centów za godzinę. Przykład podzielał. Po 13 dniach strajku Zarząd Chryslera zgodził się na podniesienie płac robotników o 13 centów za godzinę. „America” (5 czerwca) przewiduje w związku z tym ustępstwa na rzecz pracowników również i w innych zakładach przemysłowych.

„Inne fabryki przemysłu samochodowego będą musiały pójść za przykładem General Motors. Potrzeby pracowników General Motors są typowym przykładem potrzeb wszystkich pracowników, a inne koncerny nie mają mniej pieniędzy niż General Motors. W ten sposób szanse pokoju w przemyśle ogromnie wzrosły”.

Farma owocowa w Kalifornii należąca do rodziny Di Giorgio jest największym przedsiębiorstwem tego rodzaju w Stanach Zjednoczonych. Zatrudnia ona 1.200 stałych pracowników i kilka dziesiąt tysięcy robotników sezonowych. Są to przeważnie zbankrutowani drobni farmerzy. Od 8 miesięcy strajkują stali pracownicy farmy, domagając się podwyżki płac, zbiorowej umowy o pracę i prawa zrzeszenia się. Di Giorgio wielokrotnie oświadczał publicznie, że na jego farmie strajku nie ma. „The Commonwealth” (4 czerwca) zamieszcza długi artykuł opisujący sytuację strajkujących robotników i metody stosowane w celu złamania strajku. Di Giorgio ogłasza fałszywe zeznania robotników, z

których wynika, że warunki pracy na jego farmie są wprost idealne, sprowadza robotników z innych stanów, którzy nie są poinformowani o strajku, zatrudnia meksykańskich robotników zamieszkających w okolicy i przemycia robotników z Meksyku. Stawki płacowe tym ostatnim są znacznie niższe od płac robotników amerykańskich, ponieważ nie orientują się oni zupełnie w obowiązkach pracodawcy wobec pracowników, a pozatem nie mogą się zwrócić do władz o interwencję, gdyż byliby deportowani do Meksyku. Czasami federalne władze imigracyjne przeprowadzają kontrolę farmy i aresztują nielegalnych robotników. Aresztowani wracają jednak po kilku dniach, często pod zmienionymi nazwiskami.

DO RED. „DZIS I JUTRO” CAMERA OBSCURA

Ze cudzoziemiec może zacząć artykuł od zdania „Gdy na wieść o powstaniu polskim 1831 — 1832...” nie można się specjalnie gorszyć (nawet jeśli to trudno pogodzić z uwagą skierowaną na „poionica”). Ze jednak tej daty nie poprawiła tłumaczka p. Janina Czarnocka, to łącznie z konsekwentnie stosowaną przez nią odmianą nazwiska Worcester („o Worcester” (jak „o wróblu”, wbrew tradycji, nakazującej odmieniać „o przyjacielu Lelewele”) zadziwia

już więcej. Ze jednak zjawilo się to w czołowym tygodniku literackim, który chętnie wyszukuje w specjalnej rubryce tego rodzaju błędy pióra lub druku to już może być uznane za objaw niepokojący. Nikt w jego redakcji przy „rewizji” nie zwrócił uwagi ani na tamte błędy, ani na „Dyczkowskiego” na ostatniej stronie tegoż numeru w bardzo interesującym liście p. J. Morgentalera, odwołującego się do „Camery Obscure” (oczywiście błąd zecerera) w odczytaniu nazwiska Dyakowski na książkach tego przyrodnika-popularyzatora wychowało się

kilka generacji! A może to pod nieobecność w n-rze 31 akurat na tem miejscu zamieszczonej rubryki „Camera Obscura”, jest namiastka, w celu zaostrzenia uwagi dla spraw kultury u czytelników pisma, które będąc szafarzem najważniejszej dziś nagrody literackiej w Polsce, pragnie wszechstronnie wychowywać masę? „Czytelnik”

JASNE KSIĄŻKI

W ostatnich dniach lipca wszystkim uczestnikom Klubu Jasnych Książek rozesyłany został Komunikat I powiadający o ukazaniu się pierwszej z zapowiedzianych sześciu książek. Jest to powieść współczesna Wł. J. Grabskiego pt. KONFESJONAL, powieść dwutomowa licząca pięćset kilkadziesiąt stron dużego formatu w trójbarwnej okładce projektu artysty grafika Jana Knothe.

Przed wojną w pierwszej połowie roku 1939 ukazała się w ówczesnych Jasnych Książkach powieść tegoż autora pt. „W cieniu kolegiaty”. Utwór wywołał tak żywy odzew czytelników, że po szybkim wyczerpaniu się nakładu wydawcy zasypani byli aż do wybuchu wojny żądaniem wznowienia książki a także pytaniami, czy autor nie zamierza przedstawić dalszych losów swego głównego bardzo ciekawiającego bohatera — kleryka Sadoka Górskiego.

KONFESJONAL, choć jest utworem samoistnym, kompletnym, jest też poniekąd spełnieniem tych życzeń.

Grabski przedstawia w nowej powieści losy już księdza Sadoka w pierwszych najciekawszych momentach zetknięcia się z pracą duszpasterską wśród wirów i błędów ludzkiej społeczności, a następuje wśród zawieruchy wojennej. Daje wnikliwy przekrój społeczeństwa po przez wszystkie jego warstwy i przeprowadza swego bohatera przez szereg kolizji z ludzką miernością, przewrotnością, a nawet zbrodnią, ukazując równocześnie nieoczekiwane niczaj głębie poświęcenia i dobroci serca istot pozornie upośledzonych.

Cena księgarska KONFESJONALU (obu tomów łącznie) wynosi zł 870. Dla członków klubu Jasne Książki wyniesie ona tylko zł 580 — już z przesyłką pocztową.

Przypominamy, że w dalszym ciągu Redakcja nasza przyjmuje zgłoszenia swych czytelników na Jasne Książki przez co zapraszający nie zobowiązują się do żadnych przedpłat ani terminów. Według jednego zasadniczego warunku korzystania z Jasnych Książek można nabyć pierwszą książkę i na niej poprzestać, nie można jednak nabyć drugiej, ani trzeciej, ani czwartej bez nabycia tej pierwszej.

Drugą z kolei Jasną Książką będzie jednotomowa powieść historyczna Zofii Zawiszańskiej PRZEDZIWNY WÓDZ, o św. Joannie d'Arc z bardzo pięknymi drzeworytami prof. E. Kuczyńskiego. Ukazuje się ona w druku w pierwszej połowie września.

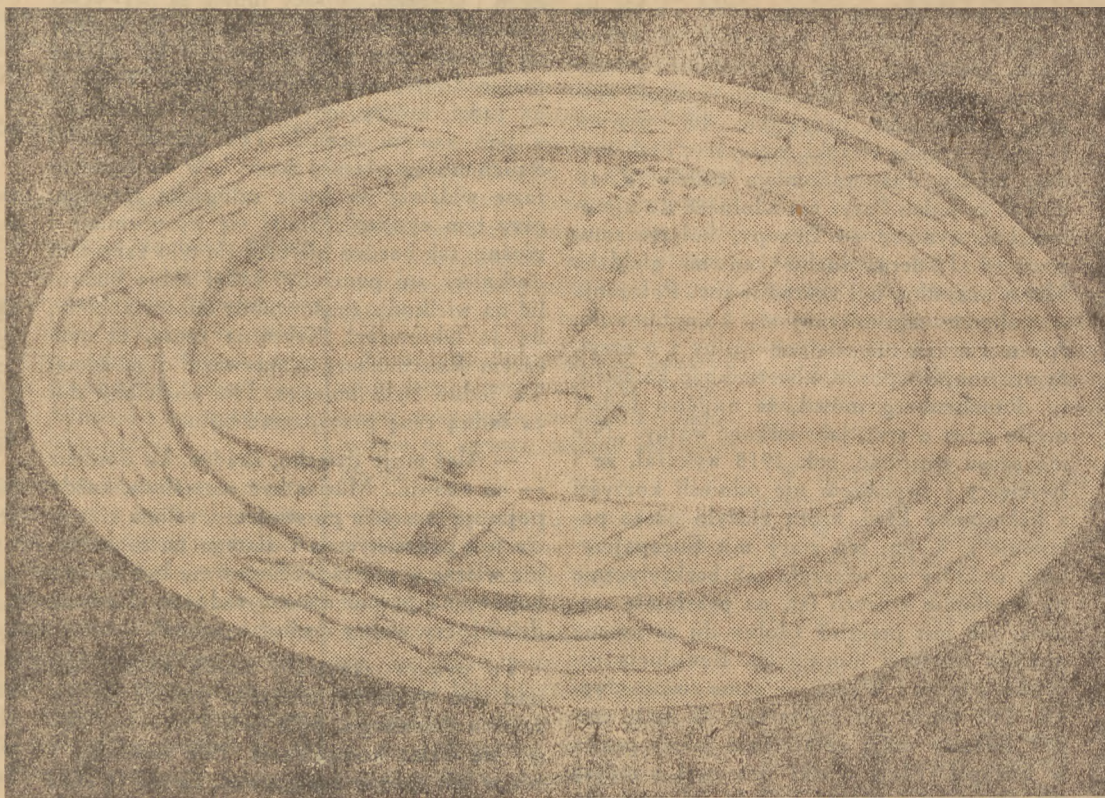
Czytajcie

„S ł o w o
Powszechne”

WNĘTRZE I WYSTAWA

SP. z O. O.

PLAC GRZYBOWSKICH 2. • WARSZAWA



Dekoracja jednego słupa Hali Ludowej na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu. W wieńcu liści laurowych mikrofon, paleta malarska i książka. Całość obrazuje KULTURĘ DLA MAS. Emblemat wykonany z lekkiej konstrukcji drewnianej obitej dyktą o średnicy 8 metrów. Cała dekoracja Hali Ludowej projektu inż. arch. Jana Polińskiego, została wykonana w czasie 9-ciu dni przez firmę „WNĘTRZE I WYSTAWA”

**Sieci rybackie cienkie i grube
Wore przeciwnociarowe łoczne**

Fachowiec doradzi Ci
wybór i zakupienie
bądź nam opisz problem
niezmiennie doskona-
lność naszych wyrobów

WYTWORNIA WYROBÓW TKACKICH
inż. WITOLD IZDEBSKI i S-ka
IWIS SP. AKC. GRODZISK MAZ. UL. SPÓŁDZIELCZA 2 tel. 7067